Carson McCullers
Drzewo. Kamień. Chmura.

Jerzy Dostatni
„Director: Martin Raduj"

Ireneusz J. Kamiński
Pępowina

Romuald Wiśniewski
Może sami się przygaszą?

Egzemplarz obowiązkowy

Wychodzi od 1933 r.

Kamena

LUBLIN 26.IX.1971 Nr 20 (479) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

Ni archanioł ni Belzebub

Bohdan Komorowski

PEDAGOGIKA jako teoria procesu dydaktyczno-wychowawczego nie cieszy się jeszcze zbytnim wzięciem i uznaniem w szkolnictwie wyższym. Kursy pedagogiczne dla młodej kadry naukowo-dydaktycznej uważane są przez nią za zbędne obciążenie — przynajmniej w takiej formie, w jakiej są dotychczas prowadzone na uczelniach stawiających wyżej ogólnopedagogiczne tezy abstrakcyjne niż metodyczne porady konkretne. Złośliwi asystenci przebąkują, że postęp w pedagogice polega na ustawicznej zmianie terminologii, skoro wiele kwestii dotyczących nauczania i kształcenia, uczenia się i studiowania, oświaty i wychowania rozstrząsa się dziś w wielce wymyślnych i precyzyjnych terminach, aczkolwiek dużo prościej i jaśniej ujmowali je Konfucjusz i Sokrates. Cytuje się z lubością prastare powiedzonko:: *Jeśli chcesz nasycić głodnego na parę godzin, to daj mu rybę, ale jeśli chcesz mu zapewnić sytość na całe życie, naucz go łowić ryby.* Po czym dodaje się, że ten aforyzm chiński o wiele trafniej odsłania istotę rzeczy niż niejedna rozprawa współczesna o różnicy między tradycyjnym nauczaniem podającym a nowoczesnym kształceniem heurystyczno-problemowym łączącym wiedzę ze sprawnością, przyswajanie ze stosowaniem, informowanie z dociekaniem, teorię z praktyką.

Nie tu miejsce na polemikę z takim upraszczaniem sprawy i na obronę pedagogiki, która jako system twierdzeń i norm nie ogranicza się wyłącznie do odsłaniania tajników kształcenia i wychowania, ale skupia się również na organizacji szkolnictwa i systemów oświatowych, polityce i ekonomice oświatowej tudzież na dziejach myśli pedagogicznej. Ma jednocześnie aspekt praktyczny, bo odpowiada na pytanie, jak postępować w określonej sytuacji, by osiągać zamierzone cele i efekty. Czerpie zatem pełnymi garściami z psychologii, etyki, estetyki, prakseologii, socjologii, filozofii oraz z wielu dyscyplin ścisłych z fizjologią, cybernetyką, medycyną i statystyką matematyczną na czele, nie mówiąc już o najnowocześniejszych osiągnięciach technicznych w zakresie środków audiowizualnych i maszyn dydaktycznych. Gdzież jednak leży przyczyna owej rezerwy w stosunku do pedagogiki? Gdzież mieści się źródło przeświadczenia o jej bezradności i nieefektywności w szkolnictwie wyższym?

Dokończenie na str. 6—7

Pokolenie pokoleniu Fot. Leonas Vasauskas (Litewska SRR)

Czechowicz w szkole Norwida

Tadeusz Kłak

W CZASIE trzymiesięcznego pobytu we Francji wiosną 1930 roku Czechowicz wiele spacerował po ulicach i zaułkach Paryża. Niestety, choroba oczu zepsuła mu smak Francji, jak napisał w liście do przyjaciela. Toteż nic dziwnego, że gdy szukał nad Sekwaną paryskich miejsc, związanych z życiem Cypriana Kamila Norwida i myślał o ostatnich latach jego życia, ujrzał w podobnej sytuacji siebie — poetę ociemniałego i opuszczonego. Czechowicz odszukał przy ulicy Chevaleret trzypiętrowy dom, w którym *dokonał żywota tragiczny geniusz polski.* W szkicu „Wspomnienie" tak zapisał swoje wrażenia:

Stoję w ulicy zasypanej pustką i białawą, nieruchomą światłością. Patrzę, patrzę na dom bolesny. Gdzieś na piętrze miał Norwid izdebkę — a którą? już nawet nie wiadomo — i tam dogorywał na gorzkim, łaskawym chlebie. [...] z okna swojego azylu widział Sekwanę łamiącą brzegi w zawiłych skrętach, na pewno monotonię jego dni w rytm ujmowały gwizdy lokomotyw. Bo po drugiej stronie ulicy Chevaleret, za niskim murem, rozłożyły się tereny kolejowe, składy, remizy. W dzień słychać tu miarowe uderzenia młotów, donośny głos żelaza, a nocą lokomotywy syczą w obłokach pary, koła dudnią po zwrotnicach. [...] Godziny, tygodnie, lata spalał się tu Norwid.

A potem? Skromny, nędzny grób w Montmorency, na cmentarzu biedaków. Poeta wielki, człowiek wielki, życiem zmęczony, spoczął wraz z dziesięcioma ubogimi. Głaz na wspólnej mogile przycisnął go ciężko.

Czytelnik oswojony z poezją Czechowicza zauważy łatwo, iż to są motywy, rozwinięte przez niego w poemacie „dom świętego kazimierza", który zresztą był już przedmiotem obszernej analizy, dokonanej przez Jana Witana w miesięczniku „Poezja". Ten utwór Czechowicza daje też najwięcej tropów do prześledzenia dziedzictwa Norwidowskiego w liryce autora „w błyskawicy". Gdyby bowiem nie „dom świętego kazimierza", nazwisko tego poety niełatwo byłoby badaczowi przywołać. Oczywiście można by było zajrzeć do „autoportretu" i w słowach:

paryż ocean widziałem przez
dym siny
także laurowo i ciemno

wykryć norwidowski ślad, czy w ostatnich zdaniach tego utworu („dalej za nic") wytropić echo zakończenia poematu „Bema pamięci żałobny — rapsod". Nietrudno też zauważyć, że w norwidowskim numerze „Drogi" drukował Czechowicz „nutę na dzwony", dając jej motto z „Dedykacji":

by odepchnąć grzmot prawdy
walnej
niech w dzwoneczki fijołków
dzwonią

Czechowicz przejął z tekstu Norwida słowa, na które sam był szczególnie uwrażliwiony. Wyrażają one przekonanie o magicznej funkcji dzwonów. Ale przejęty motyw dzwonu autonomizuje się i usamodzielnia w wierszu Czechowicza, obraz staje się muzyczno-przestrzenną syntezą rzeczywistości, łączy równomiernie wszystkie właściwości: znaczeniowe, muzyczne i plastyczne. Że jednak związek „nuty na dzwony" z liryką Norwida nie miał cech istotnych, świadczy usunięcie motta w książkowej publikacji wiersza.

Przykład ten pokazuje, iż językowo sprawdzalne nawiązania do Norwida nie przesądzają o ich wadze dla poety, trzeba więc odkrywać głębiej położone kanały łączące światy poetyckie Norwida i Czechowicza. A te niewątpliwie istnieją, ale raczej na planie ogólniejszym, poza pojedynczymi realizacjami.

Przy obecnym stanie norwidologii sprawa przedstawia się jaśniej niż trzydzieści lat temu, kiedy lotność i muzyczność wierszy Czechowicza przeciwstawiono by zapewne ciężkości i chropowatości Norwidowych. Lirykę czystą — poezji myśli, świat wyobraźni — światu kultury. A przecież w norwidowskim numerze „Drogi", gdzie drukował Czechowicz „nutę na dzwony", Stefan Kołaczkowski wyróżniał dwa żywioły istotne poezji Norwida, wśród nich właśnie *świat przeżyć czysto lirycznych, który wyraża się samą płynnością rytmiczną, najoryginalniejszą i niepochwytną lotnością.*

Ile zaś jest u Norwida prawdziwej muzyczności, dowodzono już kilka razy. Co prawda istota muzyki zawierała się dla Norwida w jej matematycznej precyzji, u Czechowicza zaś funkcja muzyki ma

Dokończenie na str. 4—5

Sprawy bliskie

Marek Adam Jaworski

WKRACZAMY w okres dyskusji przedzjazdowej. Wydane nakładem „Trybuny Ludu" Wytyczne KC PZPR na VI Zjazd Partii w mgnieniu oka znikają z kiosków „Ruchu". Jest podstawa ogólnonarodowej debaty. Podkreślam — podstawa, bo nikt nie traktuje Wytycznych jak dogmatu. Przeciwnie — Partia zachęca, aby mówić i pisać. Przede wszystkim jednak — myśleć i działać we własnym środowisku, które zna się najlepiej.

W Lublinie odbyło się 13 bm. spotkanie I sekretarza KW PZPR, Piotra Karpiuka ze środowiskiem dziennikarskim. W dyskusji nasz kolega redakcyjny, Romuald Wiśniewski, wyraził opinię, że szczegółowe sprawozdanie z tego spotkania powinno ukazać się na łamach prasy.

Nie jestem za zamazywaniem czy ukrywaniem przed społeczeństwem pewnych zjawisk, często negatywnych, czemu dałem wyraz chociażby w zamieszczonym przed dwoma tygodniami na łamach „Kameny" artykule pt. „Oddychając bez kadzidła". Jestem głęboko przekonany, a potwierdziły to listy, które później otrzymałem, że moje uwagi krytyczne pod adresem kierownictwa „Sztandaru Ludu" — a chodziło mi o sposób redagowania pisma — podzielają i inni. Wspominał o tym i przewodniczący lubelskiego oddziału SDP, Czesław Klepacki, który w imieniu zarządu oddziału szczerze mówił o sprawach nabrzmiałych, wymagających pilnych rozstrzygnięć.

Nie mniej nie sądzę, aby przeciętny czytelnik interesował się bliżej sporami, które nurtują nasze środowisko. Zresztą odczucia poszczególnych ludzi mogą być różnie przez ogół przyjmowane, zwłaszcza wówczas, gdy nie zna się do głębi tzw. kuchni dziennikarskiej. Dlatego występuję przeciwko wnioskowi kol. Wiśniewskiego, co nie oznacza, że w tym artykule będę próbował pewne sprawy klajstrować.

Edward Gierek w swoim wystąpieniu na krajowej naradzie partyjnej wypowiedział znamienne słowa:

W obliczu trudnych konfliktów społecznych i politycznych, które przed dziewięcioma miesiącami musieliśmy rozwiązywać, pewna część działaczy partyjnych uległa dezorientacji i zagubiła się. Nie każdy od razu zrozumiał sens polityki Biura Politycznego i nie każdy też od razu wyzbył się wieloletnich nieraz nawyków i zmienił styl i metody działania. Obecnie w pracy przygotowawczej do Zjazdu sprawdzać się będzie postawa, ideowość i zdolność do twórczej realizacji uchwał Partii ze strony wszystkich jej aktywistów. Jest to wielkie pole twórczej inicjatywy dla ogromnej większości działaczy partyjnych, którzy z wielkim oddaniem walczą o realizację polityki Partii, ale również s z a n s a (podkreślenie — MAJ) *dla tych, których niezrozumienie sytuacji i wewnętrzne opory zatrzymały na uboczu i skłaniały ku wyczekiwaniu. O miejscu każdego działacza Partii w życiu politycznym decydować będą nie deklaracje — nie one są nam potrzebne — lecz ideowa i rzetelna praca dla kraju, umiejętność przewodzenia swemu środowisku, zdolność do krytycznej i samokrytycznej analizy.*

I dalej:

Trzeba na wszystkich szczeblach zerwać ze szkodliwą praktyką przesuwania z jednego odpowiedzialnego stanowiska na inne ludzi nieudolnych i wyrządzających swoją działalnością szkodę. Powinniśmy jednocześnie ocenić doświadczenie i sprawiedliwie traktować tych, którzy swoją pracą i działalnością przez długi okres dobrze służyli Partii i klasie robotniczej, a później z powodów obiektywnych nie byli już w stanie wypełniać uprzednich obowiązków. Kapitał ich doświadczenia powinien być zawsze pieczołowicie wykorzystywany.

Duże grono dziennikarzy — bez żadnej megalomanii — może uważać się za działaczy partyjnych. Słowa I sekretarza KC odnoszą się i do nich. I rację miał Piotr Karpiuk, gdy na lubelskim spotkaniu podkreślał, iż sprawy kadrowe, albo inaczej mówiąc sprawy ludzkie, dotyczące konkretnych osób są najbardziej skomplikowane. Łatwo kogoś skrzywdzić podejmując pochopne decyzje.

Od siebie dodam, że i ludzie się zmieniają. Wszystko zależy od klimatu, od warunków, w jakich się pracuje. Inna rzecz, że niekiedy nie-

Dokończenie na str. 2

teatrnn.pl

Kultura 1971

Literatura

* Istniejąca przy Wszechzwiązkowym Biurze Propagandy Literatury Pięknej fonoteka zgromadziła 1300 nagrań 320 pisarzy, o łącznym czasie odtwarzania 230 godzin. Na taśmie magnetofonowej zapisuje się wieczory literackie i wystąpienia pisarzy, przekopiowuje wartościowsze nagrania z fonotek radia i telewizji, ze zbiorów muzealnych i prywatnych. Niektóre z nagrań fonoteki opublikowano w formie płyt (Konstantego Paustowskiego, Anny Achmatowej, Michała Swietłowa) lub przygotowuje się do publikacji. Po długiej i żmudnej pracy odtworzono głosy Aleksandra Błoka i Jurija Tynianowa. Niedawno wydana płyta zatytułowana „Sergiusz Jesienin (ze wspomnień)" zawiera „Spowiedź chuligana" deklamowaną przez autora oraz wspomnienia o nim jego krewnych i przyjaciół. Nagrania głosów ponad czterdziestu pisarzy wydała radziecka firma „Melodia" w serii „Mówią pisarze". Ukazały się już płyty Michała Szołochowa, Konstantego Fiedina, Kornieja Czukowskiego, Lwa Kasila i innych wybitnych twórców. Także ze stronie czasopisma dźwiękowego „Krugozor" (nakład 300 000 egz) brzmiały już głosy Włodzimierza Majakowskiego, Edwarda Bagrickiego i Mikołaja Asiejewa.

* Nakładem czechosłowackiego wydawnictwa „Kolumbus" ukazała się monografia poświęcona Jarosławowi Haszkowi pt. „Toulave house" (dosłownie: „tułające się gąsiątko"). Autor, historyk literatury, Radko Pytlik oparł się w swej pracy wyłącznie na autentycznych materiałach. Książka przynosi wiele wartościowych faktów wiążących się z powstaniem „Przygód dobrego wojaka Szwejka" zawiera także cenne materiały o atmosferze przedwojennej Pragi, rozważania o czeskim charakterze narodowym i losach narodu czeskiego w ogóle.

* Wydawnictwo „Isskustwo" opublikowało książkę T. Ciawłowskiej „Rysunki Puszkina". Zawiera ona nigdzie dotąd nie publikowane rysunki poety, którymi ilustrował swoje rękopisy, głównie utwory poetyckie.

Teatr

* W święcie teatru i muzyki, tradycyjnie obchodzonym w NRD w październiku, w tym roku wystąpi Teatr Wielki z Warszawy, który pokaże w Berlinie „Otella" Verdiego i „Króla Rogera" Szymanowskiego („Król Roger" po raz pierwszy będzie przedstawiony w Berlinie) oraz dwie jednoaktówki: „Polkę" Pergolesiego i „Kapelmistrza" Cimarosa.

* Joseph Papp, twórca Teatru Szekspirowskiego w Centralnym Parku w Nowym Jorku wystawił musical „Dwaj panowie z Werony" — wolną przeróbkę Szekspira z muzyką rock Galta Macdermota, w inscenizacji Mel Shapora i z nową czarną supergwiazdą Jonelle Allen. Teatr otrzymał subwencję od władz miasta i daje przedstawienia na wolnym powietrzu na różnych przedmieściach Nowego Jorku.

Sztuka

* W warszawskim Pałacu Nauki i Kultury otwarto wystawę fotografii „Wietnam 1971". Ekspozycja zorganizowana z okazji 26 rocznicy powstania DRW obrazuje współczesne oblicze tego kraju.

* W Essen prezentowali swoje prace plastycy polscy. Roman Cieślewicz, Jan Lenica, Józef Mroszczak, i Henryk Tomaszewski — plakaty, Zofia Wolska - Łodziany — rzeźby.

* W hallu i foyer kinoteatru Warszawa w Moskwie eksponowana jest wystawa prac fotoreporterów CAF pod nazwą „Polska współczesna".

* Plon trzeciego Pleneru Augustowskiego pokazano na wystawie w białostockim Klubie MPIK.

Muzyka

* Na obecny sezon Opera Berlińska zaangażowała polską śpiewaczkę koloraturową, Izabellę Nawe, która będzie śpiewać w „Rigoletcie" Verdiego.

* Ogromnym powodzeniem w leningradzkim Teatrze Opery i Baletu cieszy się balet Andrzeja Pietrowa „Stworzenie świata", oparty na cyklu rysunków Jean Effela o tym samym tytule. Effel przysłał kompozytorowi i zespołowi teatru gratulacje.

* W bieżącym roku obchodzi 60-lecie istnienia Państwowy Rosyjski, odznaczony orderem Czerwonego Sztandaru Pracy, Akademicki Chór Ludowy im. M. Piatnickiego. Po raz pierwszy chór, liczący 18 chłopów woroneskich ubranych w stroje narodowe, wystąpił w marcu 1911 roku w sali koncertowej filii Konserwatorium Moskiewskiego.

* Kiszyniowski Instytut Sztuki (Mołdawska SRR) pierwszy z radzieckich szkół muzycznych otworzył klasę klawesynu. Kieruje nią Aleksy Mirosznikow, wychowanek profesora konserwatorium moskiewskiego, Lwa Rojzmana.

* W czasie trwania XV Warszawskiej Jesieni (13—26.IX.1971) odbyło się 18 imprez, w czasie których wykonano 72 utwory w tym 8 światowych prawykonań i 44 premiery polskie. Wśród wykonawców była między innymi Deutsche Oper am Rhein z Duesseldofu — Duisburga, która pokazała „Żołnierzy" Bernd Aloisa Zimmermanna i „Lulu" Albana Berga. Opera z NRF-u występowała także w Łodzi. Zespół łódzkiego Teatru Wielkiego w październiku br przedstawi w NRF „Księcia Igora" Borodina oraz „Halkę" Moniuszki.

Film

* „Literaturnaja Gazieta" zamieściła rozmowę, jaką przeprowadzili podczas VII Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Moskwie Grigorij Czuchraj i Andrzej Wajda. Dotyczyła ona między innymi reorganizacji kinematografii w Związku Radzieckim i w Polsce.

* W warszawskim kinie „Skarpa" odbyła się polska premiera komedii „Motodrama" zrealizowanej przez Andrzeja Konica na podstawie scenariusza Tomasza Domaniewskiego. Występują: Jacek Fedorowicz, Krystyna Sienkiewicz, Bohdan Łazuka, Roman Kłossowski.

* Na festiwalu filmowym w Wenecji wybuchł skandal wokół filmu „Diabły" reż. Ken Russela. „Osservatore Romano" nazwał film obrazą kina i zażądał dymisji dyrektora festiwalu Luigi Rondi. Zdania krytyków na temat filmu są podzielone; jedni uważają go za dzieło wybitne, inni za „straszliwą mieszaninę sprośności i bluźnierstwa, perfidii i makabry".

* Sophia Loren grać będzie Dulcyneę w filmowej wersji Don Kichota Cervantesa.

Różne

* W Helsinkach podpisano program współpracy naukowej i kulturalnej na lata 1972—73 między PRL a Republiką Finlandii.

* Na uczelniach Związku Radzieckiego od 1949 roku ukończyło studia około 5 tysięcy Polaków.

* Najmłodszym profesorem zwyczajnym Uniwersytetu w Chicago jest 22-letni Charles Fefferman — wykładowca wyższej matematyki. Jak podaje prasa amerykańska jest on prawdopodobnie najmłodszym profesorem w historii USA.

* W Muzeum w Gruzji znaleziono stare zdjęcie przedstawiające mężczyznę w gruzińskim stroju narodowym Okazało się, że jest to Aleksander Dumas (ojciec). Gruzina z fotografii z autorem „Trzech muszkieterów" pomogli zidentyfikować wzmianka w gruzińskim czasopiśmie „Tsiskari" z grudnia 1858 r. roku opisująca pobyt Dumasa na Kaukazie i jego uroczyste przyjęcie w Gruzji. Pisarzowi spodobała się „czocha" więc podarowano mu strój, w którym Dumas się sfotografował.

Lubliniana

* Zespół Teatru im. Osterwy w Lublinie w końcu sierpnia rewizytował teatr w Jassach. Publiczność rumuńska mimo bariery językowej z żywym zainteresowaniem przyjęła polskie sztuki współczesne: „Kto ty jesteś" — Brylla i „Akt przerywany" Różewicza. W prasie rumuńskiej ukazały się bardzo dobre recenzje. Nowy sezon nasz teatr otworzył (16.IX.) „Balladyną" w reżyserii Józefa Jasielskiego i scenografii Teresy Targońskiej. Następna premiera, to „Sprawa majora Hubala" Mirosława Dereckiego w reżyserii Kazimierza Braunna; w planach „Pigmalion" Shawa. W zespole aktorskim zobaczymy nowe twarze: Ewę Lejczak, Kazimierza Borowca, Ryszarda Palczyńskiego i Ryszarda Kolaszyńskiego.

* Dr Stefan Wojciechowski i Władysława Podobińska z Zamościa otrzymali złote odznaczenia „Za opiekę nad zabytkami". Serdecznie gratulujemy.

* Gratulujemy również red. Jerzemu Denisiukowi ze „Sztandaru Ludu" III nagrody Klubu Publicystów Rolnych SDP.

* Zespół Tańca Ludowego UMCS pracowicie spędził wakacje. Po pobycie w NRF oraz na Węgrzech, gdzie uczestniczył w debreczyńskim Święcie Kwiatów udał się na tournee po Austrii. W październiku ponownie wyjedzie na Węgry, aby wziąć udział w uroczystościach Uniwersytetu im. Lajosa Kossutha w Debreczynie.

* W pierwszej dekadzie września w Kazimierzu n/Wisłą na plenerze fotograficznym spotkali się fotoficy — amatorzy z Białostockiego, Kieleckiego i Lubelskiego. Za najciekawszy moment pleneru uznano „wydarzenie" Andrzeja Polakowskiego — połączenie fotografii z happeningiem.

Arcybzdura roku

„Kurier Lubelski" opublikował w n-rze z 15 września br. informację, którą przedrukowujemy w całości:

„W 1898 roku mąż Anieli Strużak kupił za 600 rubli w złocie działkę o powierzchni 1816 metrów kwadratowych położoną przy obecnej ulicy Sierakowszczyzna. W ubiegłym roku, decyzją władz miejskich działka została wywłaszczona pod budownictwo mieszkaniowe za cenę 5400 zł (3,60 zł za metr kwadratowy). Aniela Strużak oraz jej dwie córki Danuta i Gabriela otrzymały w związku z tym pisemne zawiadomienia. **Prezydium Miejskiej Rady Narodowej wydz. gospodarki komunalnej i mieszkaniowej zgodnie z orzeczeniem PWRN Urząd Spraw Wewnętrznych Nr S W IV 60/14/70 — treści następującej:**

Pozostała kwota 661,98 zł będzie płatna od roku 1972 w ratach rocznych po 46,80 zł zawsze po dniu 3 września. Ostatnia rata zł 6,78 płatna w roku 1986.

Taki sposób wypłacania należności za wywłaszczone grunty nie jest wymysłem urzędników z PMRN, to konsekwencja przepisu ustalonego przed laty na szczeblu ministerstwa. Nie sposób jednak pominąć faktu, że Aniela Strużak ma 83 lata. Ostatnią ratę — 6,78 zł otrzyma za 16 lat...".

Za komentarz może służyć tytuł, jakim „Kurier" zaopatrzył tę informację: „Arcybzdura".

Kamena str. 2

Sprawy bliskie

Dokończenie ze str. 1

łatwo przychodzi wyzwolić się od utartych schematów, powiązań towarzyskich. „Nie ruszaj ty mnie, nie ruszę ja ciebie" — to popularne niegdyś powiedzenie zapuściło korzenie i w naszym, dziennikarskim środowisku. Niejeden zresztą dostał w przeszłości „po głowie" za to, że próbował się „wychylić", że naraził się temu czy tamtemu, który poczuł się osobiście obrażony, a był na tyle silny, iż mógł zastosować mniejsze czy większe sankcje.

Z drugiej strony niejeden z nas, dziennikarzy, nie podpisałby się dzisiaj pod tym, co wydrukował lat temu dwadzieścia czy nawet trzy. Nie jesteśmy historykami, którzy na podstawie długoletnich badań przeszłości są w stanie przeprowadzać dogłębne analizy i na ich podstawie wyciągać najwłaściwsze wnioski. Często działamy pod wrażeniem chwili, akceptując, jako członkowie Partii, zasadę dyscypliny partyjnej. Zdarzało się jednak — aby te przypadki należały do przeszłości! — że nie czyniliśmy różnic między dyscypliną partyjną a partyjną godnością.

Grudzień 1970 r. wstrząsnął całą Partią, całym społeczeństwem. I środowisko dziennikarskie, w swej przytłaczającej masie, wyciągnęło, bądź wyciąga wnioski z wydarzeń tej gorącej zimy. Jedni wyciągnęli te wnioski wcześniej, inni później. Ci nieliczni, którzy okopali się na starych pozycjach, a mają swoje niepodważalne zasługi w przeszłości, też nie powinni być przez ogół skazani na banicję. Nie sądzę jednak, by ich głos nadal mógł mieć znaczenie decydujące. Zresztą już nie ma, gdy pękające lody objęły szerokie połacie kraju, gdy i w Lublinie przestało się szafować argumentem: u nas panował spokój, a więc — naiwny wniosek — żadne zmiany nie są potrzebne.

Jeśli wracam do przeszłości, czynię to nie dla taniego efektu. Słuchaliśmy i pouczaliśmy innych — naszych czytelników. Słuchajmy nadal, ale przed dalszym pouczaniem uczmy się sami. Kultury. Taktu. Metod rozmowy z ludźmi. I słuchajmy — przeżywając i przeżuwając — zarówno tego, co mówią „na górze", jak i tego, co mówią „na dole". Na szczęście między „górą" i „dołem" nie ma już himalajskich przepaści.

Piotr Karpiuk na omawianym spotkaniu napomknął o tym, żeby ludzi piastujących kierownicze stanowiska, jeśli popełniają jakieś błędy, ostrzegać. Raz, drugi. Nie pomoże, nie zmienią swego postępowania, stylu pracy etc. — wówczas zwalniać. Metoda ta wydaje mi się nad wyraz właściwa, zwłaszcza gdy uwzględnimy fakt, że klimat polityczny — już nawet nie ogólnopolski, ale wojewódzki (wyodrębniam te dwa klimaty, właśnie dlatego, że dzisiaj należy między nimi postawić znak równania) — wpływa na postawę poszczególnych osób. Zmieniły i zmieniają się, i będą się nadal zmieniać, metody rządzenia. Będą tacy, którzy potrafią działać po nowemu — im trzeba szczególnie pomóc — ale i znajdą się tacy, którzy zbyt przesiąknięci dniem wczorajszym, po prostu nie podołają. Czeka ich to, co nazywaliśmy kiedyś degradacją. Inna rzecz, że degradacje bywały na ogół rzadkością. Przyzwyczailiśmy się do tzw. karuzeli dyrektorskiej. W dobie sputników karuzele mogą bawić tylko najmłodszych. Lecz na karuzele dyrektorskie trudno sobie w naszym kraju pozwolić. Jesteśmy po prostu za biedni. I tutaj też widzę zadanie dziennikarza: nauczyć społeczeństwo, że odejście kogoś ze stanowiska nie stanowi przekreślenia człowieka, ale pomoc w stworzeniu mu warunków, aby swe kwalifikacje mógł najlepiej wykorzystać dla ogółu. W interesie jego samego i w interesie ogółu.

Niedawno rozmawiałem z pewnym zdolnym — rozmowa była prywatna, więc nie wymieniam nazwiska — człowiekiem z frontu kulturalnego, który objął już, czy ma objąć, stanowisko dyrektorskie. Człowiek ów dał się poznać naszemu miastu z dobrej strony, jego nazwisko znane jest nie tylko w Lublinie. Powiedziałem mu wprost: „Szkoda ciebie na dyrektora. Po co ci te niezliczone obowiązki? Sprawdziłeś się i jesteś powszechnie szanowany, dobrze robisz to, co po prostu r o b i s z".

Nieważne, co mi odpowiedział, odnoszę jednak wrażenie, że stanowisko d y r e k t o r a po prostu mu imponuje. Ponieważ jednak — na podstawie moich obserwacji — człowiek ów, podkreślam zdolny, ambitny, nie ma predyspozycji do pracy z kolektywem (jego sposób przeprowadzania rozmów z ludźmi trudno akceptować), nie sądzę, aby sprawdził się jako dyrektor. Ma się więc rozczarować? Chciałbym, oczywiście, aby było odwrotnie: żebym to ja się pomylił. Bo takich pomyłek wstydzić się należy.

Znam i takich ludzi, których chętnie widziałbym na stanowisku kierowniczym, ale wiem z kolei, że oni nigdy by się nie zgodzili na jakiekolwiek propozycje. Po prostu ciągle uważają, że „łaska pańska na pstrym koniu jedzie", a poza tym są wygodnie urządzeni, żyją w świecie bezkonfliktowym, zarabiają w miarę dostatecznie, po co się im „chandryczyć" z ludźmi. Widzę takich i w środowisku dziennikarskim. Sporo piszą, honoraria lecą, czego im jeszcze do szczęścia potrzeba?

W takich sytuacjach ludzie bezpośrednio decydujący o polityce kadrowej mogą mieć spore trudności. Im t e ż pozostawmy prawo do błędów. Rzecz jasna, że polityka kadrowa wówczas będzie p o l i t y k ą, jeśli decyzje zostaną podjęte po dłuższym zastanowieniu, po zasięgnięciu opinii nie tylko bezpośrednio zainteresowanych, a więc tych, którzy mają dane stanowisko objąć, ale i tych, którzy będą przez nich „rządzeni". Osobiście już samym dyrektorom — jeśli im mamy (a powinniśmy) ufać — pozostawiłbym swobodniejszą rękę w doborze zastępców. Wytworzenie odpowiedniego klimatu w zakładzie pracy zależy od całego zespołu kierowniczego. Jeśli dyrektor „żre się" ze swym zastępcą, nie może to dodatnio wpływać na produkcję, sprawia, że wokół jednego bądź drugiego gromadzi się grupa czy grupka. Zamiast konkretnej pracy jest wzajemne podgryzanie się. Gdy organizacja partyjna jest na poziomie, gdy faktycznie działa, a nie zbiera się na milczące zebrania, wiele może zdziałać w uzdrowieniu sytuacji.

W dyskusji przedzjazdowej jest atmosfera do szczerych rozmów. Ale atmosferę tę trzeba podsycać, wypowiadając zdecydowaną walkę przyklejaniu komuś etykiety „rozrabiacza", czy „krytykanta". Ze słów Piotra Karpiuka, wypowiedzianych do dziennikarzy, można wnioskować, że taka atmosfera wreszcie nastąpi. A w samym środowisku dziennikarskim już została stworzona z inicjatywy „oddolnej" jak i „odgórnej". Z tych doświadczeń mogliby i inni skorzystać.

Truizmem jest stwierdzenie, że d o b r a praca w dużej mierze zależy właśnie od d o b r e j atmosfery. W kraju mieliśmy wiele przykładów ów „truizm" potwierdzających. Teraz znów rejestrujemy falę zobowiązań podejmowanych dla uczczenia VI Zjazdu Partii. Dobrze, że na łamach prasy o tych zobowiązaniach się pisze. Ważne jest jednak i to — j a k się pisze. Nie można akceptować „zobowiązania", które w istocie sprowadza się do sumiennego wykonywania obowiązków. Nie można też akceptować zobowiązań poniekąd wymuszonych przez dyrekcję, bo w odczuciu społecznym będzie to tolerowanie starych przyzwyczajeń i nawyków. Pogrudniowe doświadczenia prasy szczecińskiej są w tym względzie nadzwyczaj pouczające.

Pisałem wyżej, że „przed pouczaniem uczmy się sami". Uważam, że lubelskie środowisko dziennikarskie zbyt się zamknęło między Bugiem a Wisłą. Trzeba stworzyć takie warunki, aby lubelski publicysta mógł na miesiąc, dwa pojechać do — rzućmy przykładowo — „Trybuny Robotniczej", „Głosu Wybrzeża", „Gazety Poznańskiej" czy „Życia Warszawy", a z kolei by publicyści z innych gazet w ramach wymiany przyjeżdżali do „Sztandaru Ludu" czy „Kuriera Lubelskiego" i pisali o naszym terenie w naszych gazetach. Jak dotychczas, są wymiany międzyredakcyjne z a g r a n i c z n e, ale nie ma k r a j o w y c h. Bardzo dobrze, gdy nowy kierownik działu miejskiego „Sztandaru Ludu", Zdzisław Kazimierczuk, zamierza — tak mi przynajmniej mówił — zacząć swą pracę od tego, by on i podlegli mu dziennikarze pojeździli trochę po kraju, przyjrzeli się, jak pracują ich koledzy w Poznaniu, Katowicach, czy Łodzi. Te pieniądze, przeznaczone na delegacje, na pewno się opłacą. Nie chodzi mi jednak o doraźne wyjazdy, choć je też pochwalam, ale o jakiś plan długofalowy, który poprzez wzajemną wymianę doświadczeń pozwoli spojrzeć szerzej i głębiej na otaczające nas zjawiska, dokonać odpowiednich konfrontacji. I nie bójmy się, gdy któremuś publicyście z Lublina lepiej spodoba się np. praca w Gdańsku czy w Opolu, bo sytuacja może być i odwrotna. Wówczas z problemem mieszkaniowym też nie będzie problemu.

Nikogo nie dziwi, gdy do lubelskiego teatru przyjedzie z Poznania czy Białegostoku aktor, pobędzie tu sezon, dwa, a później znów przenosi się gdzie indziej. Takie „przewietrzenie się", choć może nie tak częste, potrzebne jest i dziennikarzowi. Niech więc nas nie martwią „ucieczki" zdolnych piór z Lublina. Przy odpowiednim klimacie (może nadużywam tego słowa), odpowiedniej polityce mieszkaniowej i Lublin może być atrakcyjnym miastem, chociażby z tego względu, że bliżej stąd do Warszawy niż np. z Zielonej Góry. Ale przed przyjęciem kogokolwiek sprawdźmy nie tylko jego przeszłość polityczną, ale i twórczość publicystyczną czy reportażową. Unikniemy wówczas pomyłek.

Przede wszystkim jednak rozmawiajmy sami z sobą tu, w Lublinie. Dziennikarz z dziennikarzem. Jeden zespół z drugim zespołem. Wytykajmy sobie szczerze, prywatnie i publicznie, własne błędy i potknięcia. Nikomu korona z głowy nie spadnie. Gańmy się wzajemnie, nawet gdy wyrażamy bardzo subiektywne opinie. Polemizujmy ze sobą, ale nie gdy chodzi o drobiazgi. Stwarzajmy o g ó l n o w o j e w ó d z k i klimat do szczerego wypowiadania poglądów.

Po VIII Plenum KC prowadziliśmy w „Kamenie" rubrykę: „Dyskutujemy odważnie i rozważnie". Dyskusja nad Wytycznymi KC to nic innego. Też powinna być odważna i rozważna. Szeroko otwieramy nasze łamy dla działaczy: kultury, oświaty i nauki, dla działaczy gospodarczych, dla dorosłych, dla młodzieży, dla partyjnych, bezpartyjnych, dla wszystkich, którzy po prostu mają coś nowego do powiedzenia.

Jest takie hasło: każdy kłos na wagę złota. Zmieńmy go: każdy głos na wagę złota. Mądry głos. Przemyślany.

Dyskutując, nie zapominajmy jednak o codziennej robocie. Z samego tylko gadania chleba nie będzie. Ogólnonarodowa dyskusja powinna pomóc, aby tego przysłowiowego chleba było coraz więcej. Z masłem. Wazeliny nikt nie jada.

Zapisałem słowa Piotra Karpiuka na spotkaniu z dziennikarzami: *Nie będziemy hołdować zasadzie kadzenia, ale uwzględniajcie dyrektywy instancji partyjnych.*

Dodam od siebie: *Nie zwalnia to nas od samodzielnego myślenia.*

Marek Adam Jaworski

14 września 1971 r.

Za Bugiem

INSTYTUT Językoznawstwa Akademii Nauk Ukrainy wydał w roku 1971 kolejny zbiór artykułów odnoszących się do pielęgnowania kultury językowej pt. „Ridne Słowo", zesz. 5. W zbiorku tym, który można już uznać za periodyk, poruszane są sprawy poprawności językowej na Ukrainie. Niektóre artykuły zajmują się sprawami ogólniejszymi, niektóre zaś — zagadnieniami szczegółowymi.

A. Łahutina zwraca uwagę na różne gusty oraz obiektywność w podejściu do faktów językowych. Przestrzega ona przed nieprzyjemnym mieszaniem elementów językowych z różnych sfer, wskutek czego tworzy się tzw. „surżyk", co niektórzy nawet uważają za zjawisko „postępowe", omawia zmiany językowe, odbywające się jednak powoli, ewolucyjnie, zwraca uwagę na przekręcanie wyrazów pochodzenia obcego, które są rzadko używane, stwierdza w końcu, że należy wciąż doskonalić własną sprawność językową, poznając coraz głębiej „ustalone i uświęcone tradycją normy języka literackiego".

W innym artykule N. Hrypas omawia wybrane nieudolności językowe zaobserwowane w jednym z obwodowych organów prasowych. H. Kozaruk zajmuje się dialektyzmami (elementami gwarowymi) spotykanymi we współczesnej prozie ukraińskiej oraz ich rolą na przykładzie kilku utworów literackich, w których wykorzystane są wołyńsko-poleskie cechy regionalne.

Jeden z artykułów porusza sprawę właściwości językowych z praktyki mówienia uczniów szkół ukraińskich. Stwierdzając, że pielęgnowanie kultury językowej uczniów to właściwa droga do podnoszenia kultury całego narodu, autor ubolewa nad pewnymi konkretnymi błędami językowymi uczniów, szerzącymi się wskutek takich przyczyn, jak niezbyt duże opanowanie bogactwa słownika, powierzchowna znajomość możliwości stylistycznych języka itp.

Dalsze artykuły omawiają słowotwórstwo czasowników, w tym ciekawą sprawę obcojęzycznego przyrostka -ir-, imiesłowy, rzeczowniki ze znaczeniem uogólnionym oraz z wyłącznym znaczeniem mnogości, słowem kilka trudniejszych i bardziej skomplikowanych czy też dyskusyjnych spraw z gramatyki współczesnego ukraińskiego języka literackiego.

Znaczną ilość miejsca poświęcono tu słownictwu. Dwa artykuły odnoszą się do frazeologii współczesnego języka ukraińskiego.

Autorami tych prac o charakterze popularnonaukowym, a niekiedy nawet ściśle naukowym, opartych na spostrzeżeniach nad współczesną praktyką językową na Ukrainie, są językoznawcy z Akademii Nauk USRR (m. in. tacy znani naukowcy, jak W. Rusaniwski, A. Buriaczok, T. Nagarowa) oraz pracownicy niektórych ukraińskich szkół wyższych.

Wspomniany tomik świadczy o dalszej dużej trosce naukowców ukraińskich o właściwe funkcjonowanie języka ojczystego w warunkach wielonarodowościowego państwa radzieckiego i w ciągłym kontakcie z językiem rosyjskim. Język to jeden z najważniejszych elementów kultury narodowej we współczesnej Ukrainie, otaczanych coraz większą opieką przez inteligencję twórczą Ukrainy. Świadczy o tym również coraz więcej prac z zakresu literatury naukowej i popularnej dotyczącej języka ukraińskiego i jego poprawności.

M. Ł.

PĘPOWINA

Ireneusz J. Kamiński

O Tomaszowie Mazowieckim śpiewała Ewa Demarczyk, o Tomaszowie Lubelskim nikt nie śpiewa i zanosi się na to, że nikt miasta kresowego sławić nie będzie. Kanwą artystycznych refleksji nie były i nie są tabele statystyczne, ilustrujące przyrost powierzchni mieszkaniowej i placówek świadczących usługi dla ludności. Nawet jednak, gdyby znalazł się taki miłośnik śpiewający faktów wymiernych i ekonomicznych który by zechciał coś na ten temat zanucić, tchu w piersiach starczyłoby mu zaledwie na jedną zwrotkę i refren. Zaniedbane w latach powojennych — długie to były lata — dopiero niedawno miasto odczuło przypływ inwestycyjnej mamony, która dała i osiedla nowe, i dom kultury, i knajpę przestronną o nazwie „Kosmos" i nadzieję na kanalizację z wodociągiem — od półtora roku głębokie wykopy przerzynają główną ulicę Tomaszowa. Ale najsprawniejsze ustępy o glazurowych ścianach jakoś na ludzką wyobraźnię działać nie chcą, także i przeszklony spółdzielczy dom towarowy w centrum sprawy nie rozwiąże.

Dwa lata temu pod uderzeniem konieczności gospodarczo-urbanistycznych padły na tomaszowskim rynku stojące stare jatki, wzniesione w dwudziestoleciu międzywojennym, i tym samym miejsce to główne zamieniło się w najnudniejszy rynek w Polsce, a może nawet we wschodniej Europie. Były to budowle przedziwne, z podcieniami na zwężających się ku górze filarach, cherlawych, przykryte dachem niemal żywcem zdjętym z chińskiej pagody. Były znakiem wywoławczym Tomaszowa i dziwić się należy, że nie trafiły do herbu miasta. Były brudne, zasikane, zaplute, ale nawet takie, umorusane — były piękne swoim kształtem nie spotykanym, swoją treścią tomaszowsko-międzywojenną. Nie ma ich.

Pozostał jednak drewniany kościół modrzewiowy z XVIII w., naśladujący formy barokowej architektury murowanej, do którego duży sentyment mają złodzieje, i jeszcze jeden kościół o odważnym na swoje czasy kształcie, rozpoczęty przed ostatnią wojną, a za Polski Ludowej ukończony i ciekawy również wyposażeniem wnętrza, po części przeniesionym z Sokala.

A na cmentarzu niedaleko „pedeku" mogiły i pomnik żołnierzy poległych we wrześniu 1939, a wokół Tomaszowa pola bitew z pierwszej i drugiej wojny, i lasy, w których w walce z bandami poległo 56 obrońców władzy ludowej, i cerkiewek kilkanaście przez czas i durnotę zniszczonych, lecz dalej krasiwych, choć znanych tylko okolicznym mieszkańcom, bo wszyscy myślą, że tylko w Bieszczadach, w Rzeszowskiem, za co nie ich, tak dumających, winić trzeba.

7 tysięcy mieszkańców liczy Tomaszów. Piją tu tego, weselą się na ulicach, a i po żebrach skorzy przejechać, żeby sobie co złego jakiś obcy o nich nie pomyślał. Znany ongi z handlu miodem oraz wyrobu maliniaków i wiśniaków, godnie Tomaszów tę tradycję kontynuuje, wytwórnia win i przetworów owocowo-warzywnych sporo nawet eksportuje.

Ponad trzysta lat temu otrzymał Tomaszów pierwsze prawa miejskie, więc wiek ma nie najpodlejszy. W historii zaś odleglejszej i hordy tatarskie Batu-chana krwawo się piszą, później zaś Szwedzi się pojawiają — bez uczuć przyjaznych. W okresie powstania styczniowego znów mordy i masakry na mieszkańcach odnotowuje historia. Ta historia działa na wyobraźnię narodową, ta historia domaga się utrwalenia dla współczesności. Może w muzeum?

* * *

Tablica informuje, że mam oto przed sobą Szpital Powiatowy w Tomaszowie Lubelskim. O muzeum ani słychu, chociaż tu właśnie w obrębie szpitala powinno się mieścić. Widzę strażnika przy bramie, nie widzę tablicy z nazwą muzeum. Odwagi!

Długa sala: tłok niesamowity, gabloty ze strojami ludowymi, a tu kapa i czaprak turecki, przy wejściu zegar i piec wysoki z ceramiczną płaskorzeźbą, o którym w Lublinie z zazdrością wspominano marząc o przywłaszczeniu, tamże obrazy jakoweś i piękne rogi jelenie, a obok dzbany i talerze z porcelany i fajansu, kolekcje monet... Trochę bez ładu i składu, gdzie popadnie, gdzie jest miejsce, gdzie się da.

— Tu zaś jest biuro — informuje postawna brunetka, pani Zofia Świtka, kierowniczka muzeum. Biuro jest pod piecem, przy drzwiach wejściowych, składa się ze stylowego stoliczka i trzech bodaj krzeseł. Platońskie idee nieźle sobie żyją w socjalistycznym państwie.

Obok biura są schody, prowadzące do sutereny, idę tam wspomagany ciepłym słowem — „Sam pan widzi, sam pan zobaczy, ja już niczego nie widzę, tyle lat to trwa, że pierwsza wściekłość jakoś wygasła, a i do wszystkiego człowiek się w końcu przyzwyczaja" — przez Stanisława Pasiecznego, malarza po krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, który z dyplomem powrócił w rodzinne strony, z braku laku do muzeum się przypisał, gdzie piękne literki na bristolu stawia i inne okazjonalne działania twórcze rozwija.

Ano widzę i czuję: w wilgoci na grzbiet wlazącej czuję białą gorączkę, a przez nią dostrzegam stertę zabytków sztuki ludowej, rzeźb, masielnic, obrazków, drugą stertę broni z ostatniej wojny, ikonę mokrą — może to święta postać płacze z zimna? — płótna wielkie i rzetelnie naiwne w utrwalonym na nich widzeniu świata przez panią Weronikę Ratynę, co to dzieła swe na metry sprzedaje, znaczy się na metry mierzy, a właściwie na długość łóżka własnego. Kicha Pasieczny, malarz — inteligent naiwny, który sztukę zamierzał uprawiać w mieście bez pokus światowych, cichym, niebrzydkim, podniecającym pejzażem otoczonym, dwa lata temu pozbawionym jedynej kawiarni z tańcami, kicham i ja, dziennikarz najstarszego pisma społeczno-kulturalnego w Polsce, którego lokal redakcyjny grzyb trawi, nie oszczędzając też stawów kolanowych panów publicystów.

Na 169 metrach kwadratowych powierzchni Muzeum Ziemi Tomaszowskiej upchano niemal 5000 eksponatów z zakresu archeologii, etnografii, historii, sztuki, numizmatyki. W tym galimatiasie są zabytki różnej wartości, czasami miernej, często wręcz znakomitej, jak choćby stroje ludowe — unikalne, o których pomarzyć tylko może nawet bogate Muzeum Wsi Lubelskiej. Wysoką wartość przedstawia część zbiorów malarstwa i grafiki współczesnej — mają nawet prace Pietscha. Skąd?

— Przekazał je muzeum szwagier doktora Petera, krakowski rzeźbiarz Fryderyk Toth. To dzięki niemu mamy zestaw kolorystów krakowskich i ikonę. Za darmo.

Z dużej fotografii smętnie patrzy na swoje dzieło doktór Janusz Peter, zmarły 13 lutego 1963 roku długoletni dyrektor Szpitala Powiatowego, społecznik rzadko dziś spotykanego formatu, który dostrzegł przed laty konieczność zorganizowania muzeum w Tomaszowie. Miał trochę własnych zbiorów, resztę zgromadził przy pomocy własnych środków, wspartych osobistą energią. Podobno 100 tysięcy wydał z dochodów z prywatnej praktyki na zakup eksponatów i na opłacenie wynajętych robotników, którzy pomagali mu w wykopaliskach i terenowych wojażach. Nie ulega wątpliwości, że gdyby nie jego inicjatywa, większość zachowanych w muzeum zabytków kultury artystycznej, ludowej i historii dawno uległaby zniszczeniu. Wielką musiał mieć pasję społeczną i obywatelską ten człowiek o spokojnej, regularnie zbudowanej twarzy, o skupionych oczach za szkłami drucianych okularów, uczesaniu „w przedziałek", tak niewłaściwym w latach pięćdziesiątych, jeśli znalazł jeszcze dodatkowo czas na opracowanie „Szkiców z przeszłości miasta kresowego", pracy na pewno metodycznie amatorskiej, lecz dziś niezbędnej dla każdego badacza historii tego regionu.

Dopiął swego: 7 października 1962 roku w pomieszczeniu dawnej stołówki szpitala otwarto Muzeum Ziemi Tomaszowskiej — 2500 eksponatów! Było to wielkie wydarzenie w życiu współczesnym miasta kresowego, najwyższe władze powiatowe i wojewódzkie pojawiły się w pełnym niemal garniturze; te pierwsze zresztą miały pełne prawo do satysfakcji, jako że działanie doktora Petera wspomogły 100-tysięczną dotacją, obiecując więcej. Przeżyjmy to jeszcze raz, zaglądając do księgi pamiątkowej muzeum, którą otwierają życzenia władz powiatowych, partyjnych i państwowych:

— Z okazji otwarcia Regionalnego Muzeum Ziemi Tomaszowskiej składamy serdeczne gratulacje, wyrazy wielkiego uznania oraz serdeczne podziękowanie głównemu inicjatorowi i organizatorowi tak wspaniałej placówki kulturalnej naszego powiatu, obywatelowi dr. Januszowi Peterowi.

— Dzisiaj? Sekretarz Bronisław Furmaga i przewodniczący powiatowej rady, Edward Szczerba, też właściwie popierają muzeum... — odpowiada pani Świtka.

W spokoju więc kartkuję grubą księgę, choć coś mi się nie zgadza. A to ci dziwny zapis pamiątkowy!

Byłoby zbrodnią wobec kultury kraju naszego zaprzepaszczenie zebranego w Muzeum dorobku zbieraczkiego dr. J. Petera, a widać że władze lokalne zupełnie się tym zbiorem nie interesują. Poszczególne eksponaty są nie zabezpieczone ani przed dotykiem, ani przed kradzieżą. Władze lokalne! Obywatele Tomaszowa! Nie dajcie zniszczyć resztek — pamiątek kultury naszego regionu!

Słowa te zapisano pod datą 18 lipca ub. roku, w osiem lat po uroczystym otwarciu muzeum, uznanego przez władze za „wspaniałą placówkę kulturalną".

Z tego wszystkiego pytam półgłosem, gdzie jest wiadomy przybytek.

— Toaleta? Nie ma. Jeśli jakaś wycieczka uczniów ze szkoły podstawowej przyjdzie do muzeum, co nie zdarza się zbyt często, bo przyjezdnym niełatwo tu trafić, tym bardziej, że szpital nie pozwolił na wywieszenie odpowiedniej tablicy informacyjnej na budynku, wówczas dzieciaki sikają po nogach.

— Sikają? Po nogach? Ale w zimie to chyba pół biedy, bo kaloryfery suszą — stać mnie jedynie na tani dowcipas.

— W zimie siedzimy w paltach, kaloryfery nam wyłączają pod pretekstem awarii. Szpital nas nienawidzi, oni chcą tu wprowadzić stację sanitarno-epidemiologiczną. Nie dość, że salę na piętrze zabrali dla siebie.

Po śmierci doktora Petera hołubione dotąd muzeum znalazło się w sytuacji intruza, którego należy się dyskretnie pozbyć. Ale przed tym warto było trochę poczekać, jako że intruz otrzymał właśnie obiecaną dotację na rozbudowę w niebagatelnej wysokości 900 tysięcy złotych. Zwięzłą historię tej sprawy i jej konsekwencje przedstawia notatka służbowa, sporządzona 8 sierpnia 1969 roku przez Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Lublinie, mgr. M. Kurzątkowskiego, jako rezultat rozpoznania przeprowadzonego przez dwuosobową komisję — konserwator plus pracownica Wydziału Zdrowia PWRN — po zażaleniu F. Totha, kreślącego fatalną sytuację tomaszowskiej placówki:

Muzeum mieści się w budynku przy wejściu na teren szpitala wzniesionym w latach 1962—1965. Budowa tego obiektu dofinansowana była ze środków SFOS w wysokości 900 tys. zł. Zamierzenie objęte było tytułem „Rozbudowa Muzeum Ziemi Tomaszowskiej". Program przewidywał przeznaczenie całego obiektu na potrzeby muzealne.

Po ukończeniu obiektu pomieszczenia na I piętrze zajęte zostały przez szpital na świetlicę i bibliotekę. Wskutek tego Muzeum dysponujące bardzo bogatymi zbiorami z dziedziny archeologii, etnografii, historii, kultury materialnej i sztuki współczesnej, nie posiada niezbędnych warunków tak przechowywania jak i opracowania i udostępniania muzealiów.

Prezydium PRN w Tomaszowie Lub. reprezentuje stanowisko, że dla potrzeb Muzeum należy przekazać cały budynek.

Wydział Zdrowia PPRN oraz Dyrekcja Szpitala stoją na odmiennym stanowisku i skłonne byłyby wyeksmitować Muzeum z terenu Szpitala.

Zdaniem Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w perspektywie należy przewidzieć przeniesienie Muzeum do odpowiednich lokali poza teren szpitala, jednakże do tego czasu Muzeum należy umożliwić wykonywanie statutowych zadań przed udostępnieniem mu całego obiektu — zgodnie z pierwotnymi założeniami.

Od dnia sformułowania tej opinii nic się w sytuacji tomaszowskiego muzeum nie zmieniło na lepsze, przeciwnie, jest coraz gorzej i nikt w mieście nawet nie zastanawia się nad potrzebą realizacji zaleceń Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, jedynie słusznych, bo liczących się i z interesami kultury i z potrzebami tamtejszego szpitala. Wskazuje się przy tym na projektowaną budowę Domu Kombatanta, w którym muzeum ma otrzymać odpowiednie pomieszczenia o powierzchni 400 metrów kwadratowych. „Plany zostały zatwierdzone, teren pod budowę wywłaszczono, jeszcze w tym roku przerobi się 800 tysięcy zł". Wydział Oświaty i Kultury PPRN, od którego zależy dalszy los muzeum, powinien partycypować w inwestycji w wysokości 3 000 000 złotych, lecz pieniędzy tych nie posiada. Prosi o dotację władze wojewódzkie, te kierują sprawę do WKPG, ta zaś prosi Tomaszów o dodatkowe uzasadnienia i informacje. Tomaszów przesyła, co trzeba i czeka.

Rozsądni ludzie w Tomaszowie, rozsądni i dobrze zorientowani nie tylko w sprawie budowy Domu Kombatanta, twierdzą, że będzie dobrze, jeśli budowa rozpocznie się w roku przyszłym. Moim zdaniem, zdaniem optymistycznym, co najmniej trzy lata poczeka muzeum na nowy lokal. Tymczasem część jego zbiorów zeżre wilgoć, inne stracą sporo na zdrowiu. Nie liczę już strat wynikających z niemożności prowadzenia w obecnych warunkach sensownej pracy kulturalno-oświatowej, przez placówkę — te z punktu widzenia społecznych interesów są niewymierne — nie mogę sobie również wyobrazić, gdzie też muzeum zgromadzi nowe eksponaty. Zwracam się zatem o interwencję do Sejmowej Komisji Kultury. Jeśli przez siedem minionych lat władze tomaszowskie nie chciały lub nie mogły znaleźć odpowiedniego rozwiązania, apelowanie o ich pomoc wydaje się bezcelowe i naiwne.

Wydaje się, że Szpital Powiatowy po prostu przywłaszczył sobie cudzy lokal. Rozumiejąc niewątpliwie wielkie potrzeby lokalowe tej instytucji — który szpital ich nie odczuwa — nie mogę zaakceptować metody, jaką się posłużył.

W pomieszczeniu zajętym przez szpital mieści się świetlica gdzie okresowo odbywają się wieczorki taneczne. Po sąsiedzku ludzie walczą z chorobami, często przegrywając. W zakładzie pracy, gdzie zdecydowanie przeważa personel kobiecy, do tego młody, świetlica jest oczywiście potrzebna. W PDK przebywa młodzież szkolna, wyprawa dwóch pielęgniarek do miejscowej kawiarni uruchamia niegdysiejsze ploty o czyhaniu na męża, te młode kobiety mają prawo do kulturalnego wypoczynku w niekrępującym ich lokalu. Wątpię jednak, czy na ten cel najszczęśliwiej wybrano pomieszczenie tak umiejscowione. Poza tym istnieje szereg innych rozwiązań tego zagadnienia, takim jest na przykład porozumienie się z jakimś zakładem pracy, dysponującym odpowiednim pomieszczeniem świetlicowym. O ile mi wiadomo w zakładowych świetlicach Tomaszowa panuje na ogół martwota, po co je jeszcze zamykać przed obcymi, którzy w końcu obcymi nie są i mogliby przyczynić się do rozruszania środowiskowego życia kulturalnego. Poprzez doktora Petera tomaszowska służba zdrowia rzeczywiście zrobiła sporo dobrego dla miasta, po jakie licho kompromituje się tę piękną tradycję!

Znamienne, wszyscy moi rozmówcy tomaszowscy, urzędnicy i działacze partyjni, zgadzali się, że muzeum traktowane jest po macoszemu. Kto ponosi winę i dlaczego ten stan utrzymuje się od tylu lat? — pytałem. Odpowiadano milczeniem. Jedna tylko osoba zauważyła żartem: „Wobec szpitala jesteśmy bezradni, każdego może zaboleć pępek, co tu rozrabiać".

POEZJA BIAŁORUSKA

w przekładach Kazimierza A. Jaworskiego

Maksim Bahdanowicz

✿ ✿ ✿

Ciepły wieczór, cichy wietrzyk, świeży stóg,
Ułożyłyście mnie do snu swym spokojem.
Jasny pył się nie unosi pośród dróg,
Z nieba się wychyla księżycowy róg,
W niebie zakwitnęły gwiazd srebrzyste roje.

Gwiazda spadająca mknie ognistą łzą,
Zaszumiała sowa miękko skrzydły swemi;
Kiedy zlała się przyroda z duszą mą,
Widzę — gwiazdy drżące coś ni mówić chcą,
Słyszę w ciszy — trawa czerpie soki z ziemi.

Na obczyźnie

Dokoła mnie kwiaty wspaniałe tu kwitną.
Markotny, samotny nie cieszę się latem,
Wtem widzę, jak kiwa mi główką błękitną
Wśród nich niepozorny nasz miły bławatek.
„Jak się masz, mój ziomku!" Ukryty w dolinie
Ponuro spogląda i szeptać się zdaje:
„Wspomnijmy, o druhu, w bogatej krainie
O biednym dalekim ojczystym swym kraju".

Do pieśniarza

Młody bracie mój, wiedz, w ludziach wiele jest zła,
Serca twarde są, serca z kamienia.
Próżno będzie w nie tłuc, gdy jest słaby twój wiersz,
Nie obudzi ludzkiego sumienia.

Trzeba z stali kuć wiersz i hartować go wciąż,
I obrabiać go trzeba cierpieniem.
Gdy uderzysz ty nim, to zadźwięczy jak dzwon,
Sypną iskry i z zimnych kamieni.

Janka Kupała

Słowo ojczyste

O, słowo ojczyste, potężne ty słowo,
Na jawieś ty ze mną i we śnie.
Tyś duszę radością wstrząsnęło mi nową,
Ozwałoś się do mnie w mej pieśni.

O, słowo ojczyste, żywotne ty słowo!
Zwyciężać umiałoś fałsz wszelki,
Choć ciebie gnębiono, skuwano w okowy,
Na próżno! — Ty żyjesz wciąż wielkie!

O, słowo ojczyste, wolności ty słowo!
Rozbrzmiewaj radośniej, zuchwalej!
Choć syczą w krąg gady, choć krążą wciąż sowy,
Ty żyjesz nam w dumie i chwale.

O, słowo ojczyste, nieśmiałe ty słowo,
Grzmij wkoło nad ziemią rodzinną:
Choć biedna — od każdej bogatsza ma mowa,
Nasz język nam droższy nad inny.

1908

Maksym Tank

✿ ✿ ✿

Postarałem się wyrzucić z głowy
Myśli o tobie,
Ale one przeniosły się do rąk mych,
Które w nocy cię często szukają
I nie znajdują.
A gdy wyrzuciłem z rąk je —
Przeniosły się do nóg mych,
Które, gdziekolwiekbym poszedł —
Prowadzą mnie znowu
Do twojej chatki.
A może je obciąć?
Tylko że nie mam pewności,
Czy myśli te
Nie przeprowadziłyby się wtedy
Do moich protez.

List do komisarza wojennego

Towarzyszu komisarzu!
Jestem pisarzem.
To znaczy,
Że moja specjalność jest specjalnością sapera,
Który przez całe życie rozminowuje drogi

Do miłości,
Przyjaźni,
Pokoju.

Ja codziennie wędruję po świecie
I umieszczam napisy na domach,
Drzewach,
Drogach,
Nawet na obłokach:
„Tutaj można naznaczać spotkania,
Tutaj można urządzać wesele,
Chrzciny,
Tu można siać,
Budować,
Marzyć
I żyć."
Nawet kiedy upadnę na siłach,
Nie skreślajcie mnie z ewidencji.
Pieśń moja będzie dalej
Budować drogi
Do miłości,
Przyjaźni,
Pokoju.

POLSKA WYZWOLONA

Director: MARTIN RADUJ
CASILLA DE CORREO N° 136
BUENOS AIRES
Przesyłki i korespondencję kierować na wyżej podany adres

"POLONIA LIBERADA"
Semanario democrático polaco
Zjednoczone pismo: "POLSKA WYZWOLONA" i "LUD"

Redakcja przyjmuje w sobotę od 15 do 17 godz.
Administracja czynna od 10 — 15.
Redakcja nie zawsze cykloidzie.

ROK (AÑO) III. — Nro. 134. Buenos Aires, Czwartek, 18. grudnia (Diciembre) 1947. Cena egzemplarza (precio) 20 ctvs.

„Director: Martin Raduj"

Jerzy Dostatni

CZYTAŁEM te dwa grube tomiska chciwie i ze wzrastającym przejęciem. Dzięki tym pożółkłym już płachtom gazetowego papieru przeżywałem raz jeszcze, dzień po dniu, to wszystko, co stało się już historią, a co przecież decydowało o tym, jaki będzie kształt późniejszej, a więc także i dzisiejszej Polski.

Pismo, o którym mowa — „Polska Wyzwolona" — ukazywało się w stolicy Argentyny, Buenos Aires, od 29 marca 1945 roku, początkowo jako dwutygodnik, a po krótkim czasie jako tygodnik. Gazeta była drukowana, oczywiście, w języku polskim, ale w podtytułach pisma czytam po hiszpańsku: „Polonia Liberada", „Periodico democratico polaco", „Director: Martin Raduj". Tu trzeba wyjaśnić, że w państwach zachodnich istnieje w redakcjach nie znane u nas stanowisko dyrektora. Jest to równocześnie redaktor naczelny oraz kierownik administracji, człowiek, który jednoosobowo odpowiada za całość spraw redakcyjnych i administracyjnych.

Przypadek zdarza, że u wspólnych znajomych w Lublinie spotykam się właśnie z Marcinem Radujem, który stale mieszka w Warszawie. Dzięki niemu mam możność zapoznać się z czterema rocznikami „Polski Wyzwolonej", jedynym kompletem, jaki znajduje się w kraju. Pan Raduj jest już na szczególnie dobrze zasłużonej emeryturze, ale zarówno jego wygląd zewnętrzny jak i zapał, z jakim rozmawia zarówno o dawnych czasach jak i dzisiejszych problemach kraju, zaprzeczają stanowczo temu, o czym mówi metryka.

Pan Marcin Raduj urodził się we wsi Sól pod Biłgorajem, a więc w jednym z najbiedniejszych przed wojną rejonów Polski. Trzyhektarowe, piaszczyste gospodarstwo ojca nie stwarzało żadnych perspektyw, nawet na zwykłe przeżycie. Więc po ukończeniu służby wojskowej, gdy tylko otrzymał paszport, śladem wielu innych wyemigrował do Argentyny. Wyszedł na ląd mając w kieszeni 4 dolary, co nawet w ówczesnych czasach nie zapewniało żadnego startu życiowego. Chwycił się więc pierwszej z brzegu roboty — został kopaczem przy układaniu torów kolejowych. W nowych warunkach klimatycznych była to praca niezwykle ciężka, zwłaszcza że i argentyński pracodawca wiedział, iż dla nowego emigranta polskiego jest to w tej chwili jedyny sposób utrzymania się przy życiu.

Niemal osamotniony w gronie wielojęzycznych robotników, Raduj szybko nawiązał kontakty z polskimi organizacjami, skupiającymi wcześniejszą emigrację. Niezwykle ciężkie warunki pracy jak również niesprawiedliwe traktowanie robotników polskich przez ówczesne władze argentyńskie, zmuszanie chłopów polskich do dalszej emigracji do Paragwaju, gdzie warunki były jeszcze cięższe — wszystko to młodemu emigrantowi z Soli układało się w coraz bardziej wyrazisty obraz społecznego i narodowego wyzysku. Nic więc dziwnego, że najpierw zbliżył się do polskiej sekcji Komunistycznej Partii Argentyny, a potem stał się jej czynnym działaczem. Z polecenia władz partyjnych, które doceniały jego zdolności organizacyjne, bystrą inteligencję oraz pełne zaangażowanie, zostaje dyrektorem-wydawcą polskiego tygodnika „Nowa Polska", którego pierwszy numer ukazuje się w lutym 1943 roku. Pismo to od pierwszego numeru stanęło zdecydowanie po stronie sił postępu. Nic dziwnego, że reakcyjne władze argentyńskie, utrzymujące stosunki dyplomatyczne z emigracyjnym rządem polskim w Londynie, po roku nakazały zamknięcie „Nowej Polski", nie starając się nawet o najmniejsze uzasadnienie.

Pan Marcin Raduj był już nie tylko dyrektorem Drukarni Słowiańskiej, ale również jednym z dyrektorów Towarzystwa Słowiańskiego, organizacji, w której główną rolę odgrywali polscy komuniści. I tak po pewnym czasie (w marcu 1945 roku) doszło do utworzenia nowego pisma pt. „Polska Wyzwolona". Była to właściwie kontynuacja dawnego tytułu. Koniec wojny zbliżał się już wielkimi krokami i nawet w dalekiej Argentynie siły antysocjalistyczne nieco przycichły. Dzięki temu „Polska Wyzwolona" mogła jeszcze bardziej zdecydowanie niż „Wolna Polska" głosić prawdę o świecie, a przede wszystkim o Polsce.

A nie było to łatwe z wielu względów. Koszta papieru i druku wzrastały, mała ilość ogłoszeń pokrywała tylko niewielką część wydatków. Cena zaś pisma nie mogła być wysoka, bo z jednej strony zabraniały tego przepisy, z drugiej chodziło o to, aby tanim pismem dotrzeć do wszystkich Polaków. W krótkim czasie nakład osiągnął 5 tys. egzemplarzy, z czego część wysyłano aż do Urugwaju i Paragwaju, nie mówiąc o dalekich prowincjach samej Argentyny. Każdy numer docierał do wielu czytelników, podawany z rąk do rąk, czytany na rozmaitych zebraniach i imprezach. Niemal wszyscy pracowali w redakcji społecznie, także cała ekspedycja była załatwiana przez grupę sympatyków, nie pobierających za to ani grosza. Ale właśnie dzięki temu pismo mogło egzystować, przekształcić się w tygodnik, zwiększać objętość nawet do 10 stron.

Były także poważne kłopoty z otrzymywaniem wiadomości z kraju, nawet po utworzeniu Polpresau, a potem PAP. Agencje zagraniczne podawały najczęściej wiadomości tendencyjne, opierały się o informacje z Londynu, zaprawione niechęcią, lub wrogością wobec Polski Ludowej. Organizowano więc we własnym zakresie nasłuchy radiostacji krajowych, z powodzi informacji wyławiano te, które mówiły o zwycięstwach żołnierza polskiego, o formowaniu i krzepnięciu władzy ludowej.

Jednym z ważnych wtedy źródeł informacji o dalekim kraju były listy, nadsyłane do Polaków, zamieszkałych w Argentynie. Listy te były pisane do najbliższych bez myśli o ich publikowaniu. Najczęściej więc dotyczyły spraw osobistych, losów poszczególnych osób lub rodzin, ale właśnie dlatego ukazywały życie w kraju takie, jakie było ono w rzeczywistości. Za zgodą tych, którzy je otrzymywali, wiele listów publikowano w „Polsce Wyzwolonej". Niektóre z tych listów pochodziły od osób, zamieszkałych na Lubelszczyźnie. Oto wyjątki z kilku takich listów.

W nr 27 z 29 listopada 1945 roku pisze Jan Wardach ze wsi Lipowiec w pow. biłgorajskim do swojego wuja, właśnie Marcina Raduja:

Jak wielką radość sprawił nam otrzymany od Ciebie list z dnia 24.08 1945, że nie mam wprost słów, ażebym mógł tę chwilę radości opisać (...) Jak wielką jest ilość w tym czasie wymordowanych osób jedynie w naszym powiecie, to potrzeba by było masę takich kartek, ażeby ich nazwiska wszystkie umieścić (...) Ja byłem poszukiwany jako uciekinier z niewoli i chociaż przeżywałem ten okres w lesie, wyszedłem z tych opresji cało.

Mieszkaniec Lublina Stadnik pisał (nr. 32) do swego brata Wacława w Argentynie:

Myślałem, że już nie doczekam końca tej wojny. Ciężko było bardzo; te ciągłe łapanki i prześladowania wymęczyły nas okrupnie, ale Bóg dał, że przeżyliśmy to i możemy już swobodnie żyć. Wacek, postaraj się przyjechać, jeżeli jest to możliwe, chyba nie przegapisz możliwości. Ludzie, których wojna rozproszyła po całym świecie, powoli wracają do kraju, do swoich, dlatego i ja mam nadzieję, że i ty wrócisz. Kończąc (...) Wacek! Bywaj zdrów i przyjeżdżaj!

W nr 36 znajduje się obszerny list do rodziców, pisany przez Jana Wójtowicza ze wsi Przypisówka, kapitana MO, czasowo delegowanego do kompanii operacyjnej KW MO w Bydgoszczy:

W naszej rodzinie i w Przypisówce zaszły duże zmiany. Wieś spalona. Z naszej rodziny i bliskich znajomych dużo osób zginęło (...) Kochani, starajcie się o powrót do Polski, a zapewniam Was, że praca i chleb znajdzie się. Jeżeli macie możność to nie namyślajcie się a jak najprędzej wracajcie. Zasyłam Wam moją fotografię wraz z córeczką, która miała zaledwie 3 tygodnie. Wasz syn Jasio.

W następnym numerze aż trzy listy z woj. lubelskiego. Katarzyny Fedoruk ze wsi Husinka w pow. Biała Podlaska, Stanisława Ciosa z Łaszczowa w pow. Tomaszów Lubelski i od Bysia z okolic Łaszczowa (brak imienia i bliższych danych). Oto fragmenty pierwszego:

Husinka była wysiedlona. Nas wysiedlili po majątkach niemieckich. Część młodszych mężczyzn i kobiet wywieźli do Lublina, do lagrów, do obozu karnego. Tam Stacho popadł i umarł. W Lublinie nie tylko on umarł, dużo umarło (...) Naszą wioskę zrujnowali. Od Arteckiego domu do lasu nie ma żadnego domu i stodoły (...) Pytacie się pod kim my jesteśmy? Pod Polską. U nas teraz ziemi jest dużo. Rozdali biednym, którzy mają mało ziemi. Piszę Wam, że mego męża Prokopa nie ma. Został zabity na wojnie (...)

Stanisław Cios, komendant posterunku MO w Rachaniach, wymienia długą listę osób, które zginęły z rąk okupanta i tylko w jednym wypadku pisze radośnie:

Mama i Zosia są w folwarku Pawłówce. Mieszkają skromnie, przy tym dostały z reformą rolną cztery morgi i mają własną krowę.

Z listu Bysia:

Cały Łaszczów i wsie Podhajce, Domaniż, Czerkasy doszczętnie zniszczone i spalone. Dużo ofiar w ludziach (...) Ja, chociaż mam lat 27 skończone, też jeszcze nawet nie pomyślałem o założeniu swojej rodziny. Bo za okupacji była praca organizacyjna — lepiej było samemu. A teraz są porządki. To też jeszcze na razie trzeba się zagospodarować, zarobić trochę grosza (...)

Marta i Andrzej Rawscy ze wsi Antoniówka w pow. krasnostawskim tak pisali do swego szwagra w Campo Viera:

Jeżeli byś chciał, to wracaj. Polska jest taka, o jaką ty ciągle walczyłeś — społeczna i silna; chłopska, nie pańska. Polska jedności narodowej a nie obcych karteli. Będziemy Polskę odbudowywać i będziemy jedli chleb i cukier. Dawniej angielskie konie polski cukier jadły, a my tylko raz w roku na Boże Narodzenie mogliśmy sobie na to pozwolić. Przyjeżdżajcie do Polski!

Fot. J. Trembecki (CAF)

Stanisław i Józef Urbanowie ze wsi Zadębie pod Lublinem do kuzyna Józefa Kalinowskiego (nr. 87):

Nie można się skarżyć na obecny rząd; dba o rozwój rolnictwa, rozparcelował dużo dworków, elektryfikuje wsie, robotników opłaca bardzo dobrze, a przede wszystkim daje możność uczyć się wiejskiej młodzieży. Bo żebyś wiedział jaki wstyd musimy ponosić za naszych chłopców, którzy za okupacji byli pozbawieni szkoły.

A oto w nr 111 bardzo długi list pisany 23 czerwca 1947 roku w Biłgoraju przez Józefa Dechnika, obecnie I sekretarza KP PZPR w tymże Biłgoraju. Oto wyjątki z tego listu:

Byłem w Argentynie od roku 1928 do 1932 (później ze względów rodzinnych wróciłem do Polski). Pracowałem przed wyjazdem na stacji zwanej No. 303 F. C. S. Fe, obok Rekonquista nad Paraną prow. Santa Fe. Należałem do Kooperatywy „Energia", prenumerowałem „Głos Polski", „czerwony", wydawany przez Stanisława Kowalewskiego, St. Pyzika i jeszcze innych (...) Pisałem czasem coś o życiu naszym do tego pisma, miałem w nim umieszczone dwa wiersze pod tytułem „Chwile wspomnień" i „Dlaczego?" podpisane pseudonimem „R. Lubliniak". W roku 1932 wróciłem do Polski. Za sanacji różnie bywało, za okupacji także.

Obecnie jest pracy dosyć, lecz pomimo trudności pracujemy z zapałem gdyż widzimy, że nasze marzenia stały się ciałem, realną rzeczywistością (...) Jest wielu, którym śni się trzecia rzeź międzynarodowa, gdyż marzą o tem, że ona wróci ich dwory i ich majątki. My uważamy, że masy ludowe, doświadczone przeszłością, nie dopuszczą do nowych mordów między narodami. Pomimo trudności w pracy politycznej i społecznej trwamy na posterunkach wiedząc, że bronimy słusznych praw ludzi pracy (...) Budujemy Polskę Ludową. Matkę ludzi pracy, by nasze dzieci nie potrzebowały tułać się jak my po obcych krajach za kawałkiem chleba. Chleba i pracy nam wystarczy. Ja wiem co to tęsknota za krajem. Dla nas ojczyzna to nie czcze słowo — to miłość do tej ziemi naszych ojców i dziadów, to nasze pola, lasy, łąki, góry, morze, to przede wszystkim lud, który na niej pracuje, synów chłopskich i robotniczych (...)

W tych i we wszystkich innych listach powtarzają się trzy sprawy: informacje o zamordowaniu najbliższych przez hitlerowców, o normowaniu się życia w kraju i wreszcie wezwania do powrotu. Trzeba było, biorąc pod uwagę ówczesne stosunki, nie tylko zresztą w Argentynie, dużej odwagi, głębokiego przekonania o słusznej drodze, na którą wkraczała Polska aby mocno i konsekwentnie bronić tej Polski przed atakami rodzimej i zagranicznej reakcji.

Kierownictwo „Polski Wyzwolonej" z Marcinem Radujem na czele nie tylko konsekwentnie utrzymywało taką linię polityczną, ale i czynnie pomagało krajowi, przeprowadzając zbieranie paczek odzieżowych i żywnościowych wysyłanych często bezimiennie do kraju, zbierając pieniądze na budowę żłobka w Polsce, organizując różne zebrania polityczne i imprezy kulturalne, a wreszcie czynnie współpracując przy organizowaniu coraz bardziej masowych powrotów nie tylko wojennej, ale i dawniejszej emigracji.

Oprócz tych listów i oprócz bieżących informacji z życia całego kraju i województwa lubelskiego „Polska Wyzwolona" zamieściła wiele innych materiałów o Lubelszczyźnie. Oto w trzech kolejnych numerach (21, 22 i 23) ukazuje się obszerny szkic pt. „Z dziejów partyzantki na Lubelszczyźnie" napisany przez majora GL St. Hardego (pseudonim Kazimierza Sidora, twórcy Bojowej Organizacji Ludowej), dwa reportaże Henryka Podolskiego, specjalnego wysłannika redakcji do Polski, który zwiedził Lublin i Majdanek (nr. nr. 55 i 56) itd. W nr. 73 wydrukowane zostały dwa wiersze Jana Pocka „poety chłopskiego z Puławskiego" — „I ja" oraz „Moja młodość". W nr. 88 znalazła się krótka wiadomość, że w Kraśniku *zawiązał się Klub Literacki „Wsi Tworzącej". Prezesem zarządu wybrano Michała Pękalskiego. Postanowiono przystąpić do wydawania czasopisma „Nasza okolica", poświęconego wyłącznie twórczości lokalnej i opracowaniom monograficznym, dotyczącym powiatu.* W nr. 95 czytam, że w powiecie radzyńskim został zamordowany ks. proboszcz Niedzielkowski *za to, że w kazaniach swoich potępiał zbrodniczą działalność band faszystowskich i przestrzegał ludność swojej parafii przed udziałem w antypaństwowej robocie podziemia. Za to właśnie zginął z wyroku podziemia.*

Pismo zamieszczało również wiele utworów literackich, zarówno klasyków jak Mickiewicz, Słowacki, Tetmajer czy inni, a także pisarzy współczesnych jak Iwaszkiewicz, Grodzieńska, Brzechwa, Nałkowska i in. W nr. 125 z 16 października 1947 roku znalazł się wiersz Henryka Heine „Rodowód muła" w spolszczeniu K. A. Jaworskiego.

W roku 1946 redakcja „Polski Wyzwolonej" spełniała nawet funkcje konsularne, a przez pół roku służyła wszelką pomocą polskiej delegacji handlowej. Delegacja ta po powrocie do Warszawy naświetliła stosunki, panujące wśród emigracji polskiej a także kłopoty przy zawieraniu transakcji handlowych. W związku z tym pan Raduj został w 1948 roku wezwany do kraju, a po konsultacjach z władzami rządowymi i na polecenie PPR wrócił do Argentyny, gdzie pod własnym nazwiskiem założył firmę handlową (poprzednio utrzymywał się z pracy w banku holenderskim). Firma ta przejęła handel z Polską, eliminując łańcuszek miejscowych pośredników, dzięki czemu tak wówczas potrzebne krajowi skóry i wełnę kupowano wprost u producentów po niższych cenach. W 1951 roku pan Raduj wraz z żoną i dziećmi wrócił na stałe do kraju i pracował w handlu zagranicznym, a w latach 1957—1961 był radcą handlowym naszej ambasady w Argentynie.

Myślę, że pan Marcin Raduj i jemu podobni działacze emigracyjni dobrze zasłużyli się Polsce Ludowej.

Czechowicz w szkole Norwida

Dokończenie ze str. 1

kierunek całkiem przeciwny, ale powstaje wspólna płaszczyzna — sposób organizowania muzyczności w utworze lirycznym, by wskazać tylko na „Fortepian Szopena". Szorstkość frazy norwidowskiej znajdzie natomiast swój odpowiednik w dysonansowej muzyczności niektórych wierszy Czechowicza. Można by także wskazać na rolę światła i świetlistości oraz ujęć rzeźbiarskich, wspólnych obu poetom. Wydaje się jednak, że Norwid dokonuje analizy malarskiej zjawisk świetlnych, u Czechowicza zaś opozycja ciemności i jasności, dnia i nocy zawiera znaczenia głębsze, symboliczne. Podobnie rzecz się ma z monumentalizacją, która u Norwida wynika z prymatu gestu nad słowem i z bezpośrednich nawiązań do monumentalnych zjawisk w sztuce. Monumentalizacja w liryce Czechowicza wynika natomiast z pragnienia kreacji kosmosu i świata mitycznego. Łatwo przy tym zauważyć, że i tu pewne zbieżności dają się odczytać. Przy tych przeciwstawieniach za każdym razem można jednak ustalić punkty styczne.

Kolorystyka ma nie tylko funkcję plastyczną, ale wiąże się z innymi znaczeniami. O autorze „Fortepianu Szopena" pisał Kazimierz Wyka: *Przybieranie osób i zjawisk w świetlistość, podobnie jak monumentalizowanie postaci posiada u Norwida znaczenie uczuciowo dodatnie. Uświetnia i nadaje wspaniałość.* Czechowicz dostrzegł to u swego wielkiego poprzednika. Toteż słowom z „Promethidiona":

„Witajcie, Anieli
Pokornej pracy — w szatach rozświetlonych,
Z zaplątanymi włosami w promienie,
Jak woda świętych uczy: odniechcenie

odpowiada fragment „domu świętego kazimierza":

bywa, że pośród czadu czarnych lokomotyw
gdy ludzie chcą ułożyć linię szyn bardzo prosto
serafin schodzi z chmury z matowej pozłoty
pomagać dłoniom pierwszym aniołowym siostrom

Ten fragment pozwala rozumieć, w jaki sposób Czechowicz czytał Norwida. Czytał więc przede wszystkim to, co mu było bliskie, a co równocześnie stanowiło istotną część dzieła Norwida. „dom świętego kazimierza" to portret samotnika z przytułku wyczytany z tego, co sam stworzył. Wydaje się, iż poemat Czechowicza powstał w wyniku nałożenia się na siebie kilku utworów Norwida: „Fortepianu Szopena", „Do Bronisława Z.", „Bema pamięci żałobnego — rapsodu" oraz „Mojej piosnki". A są tam: tęsknota za utraconym krajem, dzieło tworzenia i śmierć wielkości, ale śmierć zwycięska, otwierająca nowe istnienie w sztuce lub w tymbolu. To są osie i skupienia obrazowe „domu świętego kazimierza".

Z rapsodu Norwida przejął Czechowicz heksametr, czyniąc tym samym ze swego utworu rapsod o Norwidzie. Ale trzeba jeszcze pomyśleć tu o rapsodzie trzecim: o „Kazimierzu Wielkim" Wyspiańskiego. *Idą pary żałobne* — to Norwid, *idą posępni a grają im dzwony żałobne* to autor „Wesela". I dopiero te

Kamena str. 4

Recenzja z postscriptum

Maciej Podgórski

Człowiek niewygodny — krytykuje i ma „dojścia" w prasie centralnej.

NIE żywię przesadnego nabożeństwa do konkursów literackich czy reporterskich. Narzucając tematykę wypowiedzi, podszytą niejednokrotnie mniej lub więcej jawnymi intencjami organizatorów, padają częstokroć łupem przypadkowych cwaniaków, a w każdym razie przeważnie nie mogą być autentyczną inspiracją rzetelnego pisania o świecie. Ergo nie ufam zbytnio poznawczym i artystycznym walorom konkursowych plonów.

To nie przeszkadza, że konkursów u nas mnogo: od szczebla powiatu aż po szczebel centralny. Gdyby mierzyć intensywność i jakość polskiego pisarstwa ilością najrozmaitszych konkursów, to mogłoby się okazać, że zajmujemy przodującą pozycję co najmniej w Europie. Powstaje wszelako pytanie, dlaczego w ostatnich latach tyle mówiło się o „kryzysie młodej literatury" czy niedostatkach reportażu w naszym kraju?

Istnieją, bądź co bądź, szachetne wyjątki. Oto wchodzą ostatnio na rynek księgarski plony zorganizowanego w 1970 roku Wielkiego Konkursu Literackiego, który zafundowano w związku z dwudziestoleciem Nowej Huty i Kombinatu im. Lenina. Ukazała się książka Andrzeja Twerdochliba „Godzina za godziną" (Kraków 1971) — pierwsza nagroda w dziale noweli filmowej, oraz tom reportaży Stanisława Harasimiuka „Warianty" (Kraków 1971) — pierwsza nagroda w dziale reportażu.

Do Twerdochliba można mieć niejakie zaufanie — przynajmniej w zakresie sprawdzalności realiów — już choćby z z tego względu, że autor, zanim został pisarzem zawodowym, przez dłuższy czas pracował jako kierowca w bazie transportowej lub kontroler TOS-u właśnie w Nowej Hucie i Krakowie. (A nie zapominajmy, iż od 1951 roku Nowa Huta i Kraków to administracyjnie jeden organizm miejski). Doświadczenia wypisane na własnej skórze są tym rodzajem prawd, który w dzisiejszych czasach skłonny byłbym cenić najwięcej — ponad wszelkie konstrukcje intelektualnej natury.

Z Harasimiukiem nieco inna sprawa, aczkolwiek ta ostatnia prawda odegrała onegdaj niebagatelną rolę w jego ludzkiej historii, tyle iż to rzecz inna i z konkursem nowohuckim nic nie mająca wspólnego. „Nową Hutę, przedmiot niniejszej książki, ujrzałem pierwszy raz w czerwcu 1969 roku" — przyznaje autor, „Wielkim Kokursem zachęcony i zdopingowany". I dalej: „Zaprzyjaźniłem się z wieloma ludźmi związanymi w różnych okresach z Hutą. Rozmawiałem z reprezentantami wszystkich grup społecznych, zawodów, stanowisk, z rodzicami i dziećmi, z kobietami, emerytami lekarzami, dyrektorami ważniejszych przedsiębiorstw, sekretarzami komitetów zakładowych i dzielnicowego, działaczami politycznymi i społecznymi, byłymi budowniczymi Nowej Huty, dawnymi rekordzistami; niektórych szukałem daleko poza Krakowem, ślady wiodły czasem do Gdańska, Lublina, Wrocławia, czasem Lubina czy Warszawy. W życzliwej redakcji „Głosu Nowej Huty" przewertowałem wszystkie roczniki tygodnika „Budujemy socjalizm" i „Głosu", ślęczałem nad grubaśną „Kroniką Nowej Huty", dokumentami DRN, KD MO, prokuratury, przetrząsałem archiwa służby zdrowia — zmieniały się notesy, neseser puchł rozpierany gromadzonymi materiałami. Parę razy dyskretnie uruchamiałem magnetofon, grywałem w oko i w pokera z mieszkańcami hoteli robotniczych na Wzgórzach Krzesławickich, na osiedlu Stalowym, Teatralnym, wypiłem kilka butelek wódki z przypadkowymi kumplami od stolików w „Arkadii", „Ludowej", „Przysmaku", „Wiśle" i Zachęcie". Odwiedzałem dziesiątki ludzi w ich mieszkaniach, podrywałem nawet tamtejsze dziewczyny, choć to zajęcie wysoce absorbujące, niekiedy jednak bezcenne jako metoda poznawcza".

Tak się nieborak w pocie czoła (tylko czoła?) poświęcał z tym podrywaniem dziewczyn... Ale żarty na bok, gdyż za przedstawionym sposobem zbierania materiału, co zresztą wyraźnie czuje się w książce, „pracowitej" nadzwyczaj i wielostronnej, więc za takim zbieraniem materiału — choć Harasimiuk chłop młody, 32-letni, i z żadną prasą teraz etatowo nie związany — stoi stara, dobra szkoła polskiego reportażu. Wszystko tu pasuje — i podpieranie obserwacji czysto reporterskich socjologiczno-ekonomiczną statystyką, i nawet te... wódeczki czy pokery, „na żywo" a dla dobra informacji organizowane. Czuję, że gdyby Harasimiuk, polonista z wykształcenia, nie musiał w Lublinie co dzień przez 8 godzin w pozadziennikarskiej branży na chleb zarabiać i rodziny własnej pilnować, to by się jeszcze jako tani tyrak niewykwalifikowany do Huty zaciągnął.

Oczywiście, autor „Wariantów", które są pierwszą jego książką, nie objawił się nagle w dziennikarce. Ma za sobą lata współpracy z „Polityką", „Życiem Literackim", „Argumentami" i „Kamenną" Tak czy siak, książka Harasimiuka oraz cała jego działalność publicystyczna, choć z niejednym konkursem związana (taki, widać, los i szansa wolontariuszy), przypomina o czymś, bez czego nie ma w ogóle dziennikarstwa, a jest tylko grzeczna pisanina na zamówienie mecenasów konkursowych i pozakonkursowych. Przypomina, że dziennikarstwo, jak może żadna inna, wyjąwszy reżyserię, działalność twórcza, wymaga gorącej autentycznej ciekawości świata i ludzi, a zarazem autentycznej umiejętności obcowania ze światem i ludźmi.

Kto nie posiada owych dyspozycji, ten powinien się zamknąć w szklanej kuli, kto świat ogląda ze znużeniem, ten w najlepszym wypadku winien smakować ezoteryczne miazmaty własnej intymnej poezji. „Zrozumie to każdy, kto pałętał się — jak Harasimiuk — z notesem wzdłuż i wszerz kraju, nagabywał ludzi, podpatrywał ich w rozmaitych sytuacjach, odwiedzał miejsca ich pracy, kto tygodniami przebywał w wielkich i małych zakładach, w pegeerach i puławskich Azotach, obydwu największych w kraju fabrykach samochodów i płockiej Petrochemii, gdańskiej Stoczni i szczecińskim porcie, noworudzkiej kopalni węgla koksującego i lubelskiej wsi, w której dzieje się mnóstwo pasjonujących rzeczy".

Można mieć zaufanie do dziennikarstwa Stanisława Harasimiuka, co nie oznacza, iż zawsze on, czy ktokolwiek z jego rozmówców, jest nieomylny. Wierzę też w obraz Nowej Huty zawarty w „Wariantach", co nie oznacza, że ktoś nie może mieć innej wizji miasta i kombinatu.

Jak się rzekło, autor poszedł po wizerunek wielostronny. Są w książce zarówno cyfry dotyczące produkcji i przekroju socjalno-zawodowego mieszkańców, jak i przede wszystkim ludzie, mnóstwo ludzi, ich portrety, ich relacje, nierzadko sprzeczne, ich rozmowy. Warianty losów ludzkich związanych z Huta. Nie jakiś nazbyt może krzepiący „widok z bramy optymizmu", lecz próba rzetelnego rozeznania się w tym wielkim tyglu spraw, dramatów, porażek nieuniknionych i ostatecznych, ale i sukcesów, okupionych często wysoką ceną.

„W Nowej Hucie dlatego tyle osobliwości — powiada jeden z rozmówców — bo tu trudno rozgraniczyć, co jest wiejskie czy małomiasteczkowe, co wielkomiejskie i wielkoprzemysłowe, a co specyficznie nowohuckie. Wszystko przenika się nawzajem, jest wymieszane, zrośnięte i podlega nieustającym modulacjom". I Harasimiuk usiłuje to pokazać, jak wyglądają te sprawy dzisiaj oraz jak się kłębiły w dwudziestoletniej historii.

Nie da się jednakże ukryć, iż Harasimiuka najbardziej fascynuje pionierski, nadzwyczaj trudny okres miasta i kombinatu, kiedy brygady ZMP-owców rozpoczynały gigantyczną budowę, kiedy z magmy ludzkich namiętności, czasem i zbrodni, ale też pięknej uczciwości i poświęcenia wytapiało się szlachetne człowieczeństwo i powstawała ta nie mająca wówczas precedensu inwestycja oraz powstawało to nie mające wówczas precedensu środowisko, acz do dziś jeszcze nie funkcjonalna i spójna społeczność. Myślę, iż za tym drążeniem pionierskiej epopei Nowej Huty tkwi jakaś całkiem osobista tęsknota autora do czasów pięknych, być może, i patetycznych, które wszelako, niezależnie od późniejszych perturbacji politycznych, i tak musiały ustąpić okresowi, „spokojnej pracy, może mniej efektownej, ale za to o wiele bardziej efektywnej". Czasów, o których ich uczestnik powie: „myśmy musieli wszystko robić, na wszystkim się znać i papirków u nas nie było". Czasów wreszcie, których mojemu pokoleniu, a więc pokoleniu Harasimiuka, nie dane było doświadczyć. Taka emocjonalna bardziej, niż rozumowa tęsknota, żeby jakąś rewolucję można było zrobić własnymi gołymi rękoma...

Ot i cała recenzja z książki pod tytułem „Warianty".

Postscriptum

Stanisław Harasimiuk funkcjonuje, a w każdym razie do niedawna funkcjonował, w naszym mieście na nader osobliwych zasadach: jako człowiek niewygodny, otoczony atmosferą dwuznaczności i podejrzliwości.

Cofnijmy się w czasie, do momentu, kiedy rozpoczyna pracę w FSC. Cofnijmy się, ale nie po to, by dla niezdrowej sensacji rozgrzebywać tę smutną sprawę, przyznawać absolutne racje którejś ze stron. Nikomu to dziś niepotrzebne. Poznajmy tylko elementarne fakty, bo one dobrze ilustrują pewien mechanizm.

W okresie 10 IX 66 r. — 30 IV 67 r. Harasimiuk pracuje w dziale organizacyjnym FSC, a następnie zostaje służbowo przeniesiony na stanowisko naczelnego redaktora „Głosu FSC". Wkrótce pierwsze kłopoty w rodzaju: chłopie, co ty, nie znasz sytuacji, napiszesz, dostaniesz po d..., ty podpadniesz, ja podpadnę, po co ci to? I wkrótce też pierwsze materiały Harasimiuka muszą pójść do kosza jako niewygodne dla fabryki. Od 11 I 68 r. „przeniesiony" zostaje na stanowisko... starszego redaktora „Głosu", czyli zdegradowany. I znów seria artykułów, które choć złożone drukiem, nigdy nie ujrzały światła dziennego.

Przeglądałem niedawno owe teksty, zdjęte z numerów jeszcze w obrębie fabryki, zanim w ogóle pismo poszło do c e n z u r y. Oto w ramach kampanii poprzedzającej V Zjazd PZPR pracownicy złożyli szereg wniosków, z których część nie została zrealizowana lub zatwierdzona. Zdaniem Harasimiuka — niesłusznie. Jakież to wnioski? „Zorganizować w fabryce stanowiska pracy dla długoletnich pracowników o częściowej utracie zdrowia (np. w zakresie produkcji ubocznej lub części zamiennych, jakie wykonuje szkoła przyzakładowa)". Albo: „Przydzielić ciepłą bieliznę dla pracowników jeżdżących samochodami na próby drogowe". I komentarz nadzwyczaj umiarkowany. „Można powiedzieć, że przypadków jak powyższe jest niewiele, giną w masie wniosków załatwionych pozytywnie... Publikując te, naszym zdaniem, mankamenty, chcielibyśmy po prostu zwrócić uwagę, że i te drobne z pozoru postulaty są dla ich autorów ważne, że formułując je na „kartkach zaufania" oczekiwali drobnych, lecz dla nich istotnych przecież usprawnień".

Nawet tego rodzaju artykuły miałyby się okazać „szkodliwe" dla fabryki? Czas przyznał rację takim postulatom dziennikarza (swoją drogą ciekawy byłbym, jak obecnie te dwie sprawy wyglądają w FSC?). Lecz wtedy myślano zapewne: wielki zakład nie będzie się martwił o gacie swoich robotników.

W dwu numerach „Życia Literackiego" (nr 31 z 4 VIII 68 r. i nr 32 z 11 VIII 68 r.) Harasimiuk publikuje reportaż literacki „Szanowny Panie Profesorze". Już 17 VIII 68 r. zostaje zdjęty ze stanowiska starszego redaktora „Głosu FSC" i przeniesiony... do kuźni. Skąd ta zbieżność tak dwu różnych dla autora reportażu wypadków? Na ogólnopolskim forum wyróżnienie (bo tekst dostał pierwszą nagrodę w konkursie „Życia Literackiego" — „Człowiek wybiera"), we własnym zakładzie pracy, który powinien być dumny z laurów swego pracownika — natychmiastowa degradacja. Podobnie już zresztą wcześniej bywało, gdy Harasimiuk był, a raczej kończył być, naczelnym „Głosu FSC".

Relacjonując krajową naradę redaktorów prasy zakładowej, Tadeusz Lipski tak wówczas pisze w „Głosie Pracy" (nr 208 z 31 VIII 68 r.): „Nie brakło też uwag na temat skuteczności krytyki prasowej i reagowania na nią przez tzw. czynniki administracyjne lub aktyw społeczny w zakładach pracy. Nie zawsze przyjmują oni krytykę (mam na myśli rzetelne, sprawdzone publikacje) jako napędową siłę demokracji socjalistycznej. Często natomiast ktoś się „obrazi", ktoś poczuje się „dotknięty". Mówcy powoływali się na te stwierdzenia, przypominając niedawne wystąpienie Edwarda Gierka, I sekretarza KW PZPR w Katowicach, członka Biura Politycznego, na spotkaniu w Zabrzu z aktywem partyjnym województwa katowickiego. Na tej to naradzie (redaktorów prasy zakładowej — MP) jeden z dyskutantów przypomniał nazwisko laureata Stanisława Harasimiuka i przedstawił nowe wiążące się z nim fakty. Harasimiuk opisuje w swej konkursowej wypowiedzi różne życiowe perypetie. Dowiadujemy się więc m. in., że w pewnym momencie przestał pełnić funkcję redaktora naczelnego, bo został zdegradowany... Pozostał jednak nadal w redakcji — jako jej sekretarz (drobna omyłka — MP), bo trudno mu było inaczej rozwiązać życiowe sprawy. Teraz zaś konkursowy sukces miast spowodować pochwałę, wywołał przeciwny skutek. W publikacji bowiem jakby w zwierciadle ujrzeli się niektórzy ludzie z zakładu. Harasimiukowi wypowiedziano dotychczasową pracę, proponując objęcie jakiegoś stanowiska urzędniczego w kuźni. Znaleziono więc, jak widać, odpowiednie miejsce dla kowala własnego szczęścia".

Sprawa staje się więc sławna w całej Polsce. Coś trzeba robić. W trzy dni po artykule Lipskiego Harasimiuk zostaje przeniesiony z kuźni do redakcji „Głosu FSC", następnie zaś do działu organizacyjnego. W wyniku tych manewrów taktycznych, gdy sprawa już przycichła, można mu było niebawem dać wymówienie, choć był wtedy jedynym żywicielem rodziny! Z dniem 30 IV 69 r. Harasimiuk musi skończyć pracę w FSC, tyle tylko wskórawszy, iż Zjednoczenie Przemysłu Motoryzacyjnego zmienia mu fatalną opinię służbową, wystawioną przez zakład macierzysty.

Powtarzam — nie chcę jątrzyć dawnych szczegółowych spraw. Lecz casus Harasimiuk doskonale odzwierciedla wszystkie nieprawidłowości życia społecznego w dużym zakładzie pracy. O cóż w końcu chodziło z tym „Panem Profesorem"? Bo w podtekście cały czas o to szło. Powiada Lipski we wspomnianym artykule: „Z publikacji nie wynikało, o jaką gazetę zakładową i o który zakład przemysłowy chodzi. Początkowo też sądziłem, że nazwisko autora nagrodzonej pracy — Stanisław Harasimiuk — jest pseudonimem". Przypuszczam, że nawet przeciętny Lublinianin nie rozszyfrowałby realiów tego sławetnego reportażu. No cóż, niektórzy nieprzeciętni rozszyfrowali, czapka zagorzała. I zaczęło się: Nie będziesz ty Harasimiuk prorokiem we własnym mieście wojewódzkim, a i szkalować na szerszym forum nie będziesz. Tak jakby Polska była luźną federacją konkurencyjnych województw, z których każde musi pilnie strzec swej nieposzlakowanej opinii, dbać o swój partykularny interes nawet za cenę interesu społecznego czy po prostu ludzkiego, bo o takie „interesy" Harasimiuk wojował.

Jako człowiek niewygodny (krytykuje i ma „dojścia" w prasie" centralnej) czy zgoła podejrzany, chodzi bez pracy trzy miesiące. Potem pracuje (nie w dziennikarstwie) do maja 71 r., bo znów dostaje wymówienie. Czyżby mechanizm działał nadal? Ponowne trzymiesięczne bezrobocie, tyle iż żona w tym okresie już pracowała, jako że choroby dały sobie spokój. Ostatnio otrzymał zatrudnienie w branży zbożowej.

Pomijając wszelkie szersze konteksty, chodziłoby mi na koniec już nie o samego Harasimiuka. Nie zamierzam dawać mu łatwej szansy obrony, wymieniając choćby liczne konkursy, które wygrał, bo nie mam zaufania do konkursowych laurów. Jestem wszak przekonany, iż sprawa Harasimiuka to nie jest kwestia jego nieuczciwości dziennikarskiej, ale raczej jego naduczciwości, jakiegoś może harcerstwa. Czy mały kompromis nie jest dobry, by wygrać większą szlachetną sprawę? — oto problem, przed jakim Harasimiuk nie może się wyłgać, a w każdym razie nie powinien się wyłgać. Ale to inna historia.

I jeszcze jedno — nic nie mam przeciwko branży zbożowej, ale każdy powinien zawodowo czynić to, co najlepiej mu idzie. Jak dotąd, Harasimiukowi najlepiej idzie dziennikarstwo, bo właśnie w dziennikarstwie, jeśli się poważnie traktuje swój fach, zawsze się bywa dla kogoś niewygodnym.

---

wszystkie teksty pozwalają zrozumieć sens poematu Czechowicza, wtedy *proch wielkości* możemy łączyć z imieniem wielkości, dzięki tym słowom wydobywa się sens ideowy „domu świętego kazimierza". Heroizm życia i heroizm działania — to jedno. Ale chodzi tu o pracę wyjątkową, o przykład dla narodu. Odczytywał Czechowicz Norwidowską koncepcję poety jako wtajemniczonego, jako organizatora świadomości narodowej. Dzięki temu Norwid mógł być uznany kiedyś obok Wyspiańskiego, za poetę państwowości polskiej i to dla krytyki okresu międzywojennego stanowiło najważniejsze znamię aktualności Norwida. Norwid inspirował całą orientację społeczną poetów „Kwadrygi", a jeden z jej przedstawicieli, Marian Piechal, pisał, że *świadomość duchowego ojcostwa Norwida w odniesieniu do dzisiejszej młodej poezji coraz bardziej się wzmaga.* Nie dotyczyło to wszakże awangardy krakowskiej. W książce J. Sławińskiego na jej temat Norwid wspomniany został tylko jeden raz, a J. Przyboś — po latach — wprost zaprzeczał jakimkolwiek związkom awangardy z Norwidem. Zdaniem autora „Próby Norwida" dla tego poety Biblia była przykładem pisania, które nie jest twórczością literacką, lecz świadectwem wtajemniczenia w prawdy wieczne. Norwid tworzył słowa sakralne, niemal liturgiczne.

To, co różniło awangardę krakowską od Norwida, zbliżało z Czechowiczem. Prawdy wieczne, o których mówi poezja Norwida, mają u autora „ballady z tamtej strony" odpowiednik w przekonaniu, że poezja wyraża sprawy metafizyczne człowieka i że za pierwszym znaczeniem słowa ukrywają się inne, głębsze, odczytywane według symbolicznego klucza.

Pozostała jeszcze sprawa ludowości. Norwid nadawał twórczości ludowej wysoką rangę, a sztukę ludową kazał pisarzowi podnieść do rangi sztuki narodowej i ogólnoludzkiej. Ideał takiego postępowania widział Norwid w twórczości Szopena. Sam jednak na terenie swej poezji takiej roli nie podjął. Zjawiska folklorystyczne rzadko są w niej obecne, nie mówiąc o przetwarzaniu sztuki ludowej na nowe wartości.

Norwidowska koncepcja poety jako organizatora świadomości narodowej odpowiadała w pewien sposób na postulat Czechowicza, by poezja współczesna tworzyła nowe mity, przodujące życiu i wytyczające mu drogę. Nie można jednak między tymi ujęciami stawiać znaku równości, ani wyprowadzać dalej idących wniosków. Wydaje się jednak, że jest dziedzina twórczości Norwida, gdzie uprawiał on swego rodzaju mitotwórstwo. Był nią dramat.

Postulaty Norwida w sprawie sztuki ludowej i narodowej spełniały się u niego właśnie na terenie dramatu. „Wanda" i „Krakus" odwołują się do mitycznych czasów, kiedy — w rozumieniu Norwida — ludowe znaczyło narodowe. Norwid odnawiał jednak nie tylko mityczną historię narodu, ale wprowadzał ogólną sytuację mityczną. O jednym ze zdarzeń „Krakusa" mówi się:

Sprawa ta stała się już daleko,
Za siódmą górą za siódmą rzeką,

zaś Starzec-Mędrzec wskazuje książętom drogę postępowania:

Książęta, jedźcie za siódmą skałę,
Gdzie śniegi leżą na Tatrach białe:
Za siódmą skałą najdzie się struga,
Co między głazy promieniem mruga
A potem w rzeki urasta żyłę —
Wodę z niej hełmem kto pił
miedzianym,
Bywał mu z wodą i sposób zlanym;
Zdobywał fortel, zyskiwał siłę
Przeciwko smokom odwylęganym.

Krakus stanowi nową wersję mitu o walce ze smokiem, a walka dwóch braci jest nowym epizodem walki księcia ciemności z księciem jasności, Kaina z Ablem. Smok, magiczne liczby, mityczna żywa woda, dająca wiedzę i nadludzką siłę, stanowią bezsprzeczne elementy mitycznej sytuacji. I w tym właśnie wolno upatrywać twórcze wyzyskanie przez Norwida pokładów folkloru, głębsze niż w potocznej tradycji romantycznej ludowości.

Dla Czechowicza zaś Norwid był — obok Słowackiego, Lenartowicza Wyspiańskiego i Micińskiego — jednym z wielkich poprzedników, którzy wskazywali drogi poetyckich wtajemniczeń. Wszystkie wymienione nazwiska znajdują się na obszarze tradycji romantycznej, nic więc dziwnego, że autor „nuty człowieczej" uważał się także za nowoczesnego romantyka. Czechowicz starał się płacić długi wdzięczności wobec poprzedników, czasami czynił to wprost. Norwidowi poświęcił „dom świętego kazimierza", o którym powiedział Fryde, iż od *„Fortepianu Szopena" nie było w poezji polskiej równie pięknego i porywającego utworu na cześć wielkiego artysty i jego trudu.*

Tadeusz Kłak

Fot. J. Duliban

Może sami się przygaszą?

Romuald Wiśniewski

STOJĄ gromadką, rozmawiają tym swoim językiem. Podchodzę, witam się, podajemy sobie ręce. Znajomości zawiera się tu łatwo. Właściwie nie trzeba zawierać. Obyczaj każe mówić dzień dobry każdemu: miejscowy, niemiejscowy, w środku wsi, czy na górskiej ścieżce, pieszy, czy na rowerze. A skoro tak, nikt nie jest obcy. Śmiało więc można podchodzić do pierwszy raz widzianej osoby, podawać rękę, zagadać, poprosić o pomoc, jeśli trzeba, lub po prostu wypalić papierosa i pogadać o pogodzie. Z początku nie mogłem się przyzwyczaić, dziwne uczucie słyszeć powitania z ust znacznie starszych ludzi. Potem człowiek oswaja się i sam kiwa głową miejscowym, a nawet turystom, przybyszom z nizin, z kolei obserwując ich zdziwienie.

Więc podchodzę, witam się, oni z miejsca gładko przechodzą na polski. O czym mowa? — A śmiejemy się panocku, tu jednej letniczce uciekł pies, taki trochę podobny do owiecki, ona mówi, że rasowy, wart 8 tysięcy, chyba niemożliwe, ile powinna w takim razie kosztować krowa? Jak myślicie, panocku?

Podjeżdża „Skoda" z czechosłowackimi znakami rejestracyjnymi, staje, z okna wychyla się mężczyzna i o coś pyta. Odpowiadają w tym swoim języku, on rozkłada ręce, że nie rozumie, z Bratysławy pochodzi. I wtedy oni gładko przechodzą na słowacki, informują go, on na pożegnanie wręcza im plik słowackich pism ilustrowanych.

Początkowo to nas właśnie najbardziej intrygowało, że wszyscy miejscowi mówią prawie jednakowo biegle trzema językami. A właściwie dwoma: polskim i słowackim oraz gwarą spiską. Na budynku GRN i poczty normalne tabliczki, na sklepach i kioskach — dwujęzyczne. Lokal, w którym pijemy kawę i napój jabłkowo-miętowy, nazywa się „Rolnicki klub". Co do napoju, dodam na marginesie, iż jest smaczny i świetnie gasi pragnienie. Dlaczego producent, zakłady przemysłu spożywczego w Chełmie, nie rzucą go na rynek lubelski, nie wiadomo. Być może, przy odpowiedniej kampanii reklamowej mógłby zrobić furorę równą „coca coli".

— No, jaki z pana redaktor? smakuje panu, a dopiero tu dowiedział się pan o tym napoju? — — śmieje się młodzież. — To przecież wcale nie jest błaha sprawa, czy ludzie mają coś orzeźwiającego do picia, czy nie mają. W czasie tegorocznej kanikuły bywały dni, że trudno było w Lublinie o kroplę czegokolwiek chłodzącego. A jeśli już była, to głównie lemoniada, oranżada, jakieś mandarynki i inne świństwa. Dlaczego handel nie zamawia soków owocowych? Są nieznacznie droższe, a gdyby zwiększyć spożycie, czyli i produkcję, nie powinny być w ogóle droższe. W Lubelskiem wytwarzają je Chełm, Józefów, Milejów, Zagłoba. Czy handlowcy kierują się swymi przestarzałymi gustami, czy też może producenci mandarynek i oranżad, w dużej mierze prywatni producenci, potrafią pogłaskać po kieszeni odpowiednich urzędników hurtowni i przedsiębiorstw handlowych? Czy i ta sprawa zostanie rozwiązana dopiero wtedy, gdy zwoła się specjalną naradę w Komitecie Wojewódzkim w Lublinie, może wyleje przy okazji na zbitą mordę parę osób? No, dlaczego wy, prasa, nie podniesiecie stanowczo takiej niby drobnej sprawy, aby raz na zawsze została załatwiona? Dlaczego nie rąbiecie na łamach kogo należy po nazwisku, żeby wreszcie podawano napoje z lodu? Czy to może też temat politycznie nie do ruszenia?

Ale zaraz przeskakujemy na temat tego skrawka Polski, na którym znaleźliśmy się, niby nie różniącego się od innych rejonów o podobnej strukturze geograficznej, a przecież zupełnie innego przez swą wielojęzyczność. Bo oprócz polskiego i słowackiego oraz gwary spiskiej, znają tu jeszcze jako tako węgierski. Znają go w każdym razie dobrze ludzie po sześćdziesiątce, w mowie i piśmie, a jeszcze i trochę niemiecki, na tyle, by móc porozumieć się w podstawowych sprawach. Jan Majerczak, przewodniczący Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej (prezes — jak tu mówią), który pomógł nam zorganizować obóz w Niedzicy, wyszukał kwatery u gospodarzy, namówił panią Helenę Golonkową, by zgodziła się 3 razy na dobę stołować w swoim mieszkaniu 30 gęb, teraz zapoznaje nas z dziejami okolicy.

Siedzimy w świetlicy, na pięterku nad remizą Ochotniczej Straży Pożarnej. Remiza ma wystrój wnętrza, że daj Boże każdemu klubowi studenckiemu taki, a zrobili to wszystko strażacy, własnym przemysłem. Na dole, na półkach — 20 lakierowanych na czarno mosiężnych kasków z błyszczącymi daszkami i grzebieniami, ze zdobnymi paskami i wielkimi orłami o rozczapierzonych skrzydłach. Kaski są z początku bieżącego stulecia. Po pierwszej wojnie światowej orłom odcięto drugą głowę, po drugiej — koronę. Do dziś jeżdżą w nich na akcje bojowe, choć zapewne niejeden kolekcjoner chętnie by taki kask kupił, lub ukradł. Tu leżą na półce w nie zamkniętej remizie. Poza sklepami i biurami nie zamyka się nic. Domy stoją otworem, w czasie żniw żywej duszy, można wejść i wyjść, nie pytany nawet przez sąsiadów, czego pan tu szuka. Tylko Państwo nie może rozkradać, więc gdy na miejscową pocztę przyjeżdża ambulans z Nowego Targu, rozebrani do połowy kierowca i konwojent mają przy pasach wielkie spluwy.

U zarania bieżącego tysiąclecia cały Spisz należał do Polski. To znaczy dolina Hornadu, dolina Popradu i Zamagurze Spiskie. W XI wieku dorzecze Hornadu weszło w skład Węgier. Potem odpadła część dorzecza Popradu. Resztę ziemi spiskiej otrzymała w posagu Judyta, córka Krzywoustego, wychodząc za mąż za Stefana, syna Kolmana węgierskiego. Dopiero za Jagiełły część Spiszu wróciła do Polski, by potem znów dostać się pod panowanie węgierskie. Po pierwszej wojnie światowej, gdy Słowacja przestała wchodzić w skład Korony Węgierskiej i utworzyła wspólne państwo z Czechami, tereny te stały się „sprawą" polsko-czechosłowacką. Od roku 1920 do Polski należy 13 gmin zachodniego Zamagurza i zamek w Niedzicy. Reszta do Czechosłowacji. W czasie II wojny, gdy w marionetkowej Słowacji rządził kolaborujący z Niemcami ks. Tiso, na cały Spisz weszły wojska i cywilna władza słowacka. Ta okupacja nie przyniosła represji. Władze słowackie uznały wszystkich mieszkańców za Słowaków i traktowały ich jednakowo, bez względu na narodowość. Zresztą jak tu naprawdę ustalić precyzyjnie narodowość? Po polskiej stronie do dziś w kioskach jest prasa słowacka, a w szkołach — klasy z językiem słowackim. Po słowackiej stronie najchętniej czytają „Przekrój", „Kobietę i Życie", „Przyjaciółkę", „Szpilki", „Perspektywy".

Po obu stronach w domach mówią do siebie gwarą spiską, dopiero obecnie młodzież coraz częściej przechodzi u nas na polski literacki, u nich — na słowacki. Wracając do wojny: dopiero po wybuchu Powstania Słowackiego na całym Spiszu zjawiły się wojska i policja niemiecka, zapanował terror, równy do Polaków i Słowaków. Na szczęście, nie trwało to długo, weszły wojska radzieckie. Pod kościołem w Niedzicy krzyż i tablica ku czci ofiar hitleryzmu, wystawiona przez rodaków z USA. Napis w języku słowackim, większość nazwisk polskich, dwa węgierskie, reszta — słowackie.

Dziś problemy narodowościowe nie występują. Każdy tutejszy Słowak czuje się choć trochę Polakiem, każdy Polak — Słowakiem. Spokrewnieni są ze sobą i tu, i przez granicę. Największym nieszczęściem dla nich byłoby, gdyby musieli określić się całkowicie: albo Polak, albo Słowak — i to samo chyba dla tamtych, po słowackiej stronie. Lub gdyby zamknięto granicę; oni bowiem przekraczają ją dość swobodnie, za przepustkami, albo po prostu jeżdżąc na słowacką stronę do pracy.

Ożywia się dyskusja. I pretensje. Dlaczego tak mało wiemy o Polsce? Przecież ten mały kawałek Spiszu jest bardzo charakterystyczny dla naszych dziejów i dla naszych stosunków z sąsiadami z południa. W szkole średniej uczą nas: morze, równiny środkowe, góry, tu jeziora, tam puszcza, a głównie stocznie, porty, fabryki, Nowa Huta — a tak mało o urodzie kraju, o tym, co w nim osobliwe, a niepowtarzalne. O budowie zapory w pobliskim Czorsztynie prasa bębniła aż do znudzenia, o sprawach narodowościowych pewnie byśmy nie słyszeli, gdyby nie przyjazd tutaj.

I zaraz potem atakuje mnie M. lat 22, absolwentka humanistyki:

— Nie tylko na Spiszu mamy ludność z domieszką obcej krwi. Pochodzę zza Tomaszowa Lubelskiego. W części naszego powiatu, graniczącego ze Związkiem Radzieckim, mieszka sporo Polaków, którzy spokrewnieni są bądź z Ukraińcami, bądź też wprawdzie sami czują się Polakami, lecz np. ich rodzeni bracia czy siostry mieszkają w ZSRR i uważają się za Ukraińców. Jeździłam na tamtą stronę granicy i wiem, że tam też jest coctail ukraińsko-polski. To są sprawy bardzo skomplikowane, jak wszędzie na terenach przygranicznych. Skomplikowane, to nie znaczy trudne. Przed laty 50, czy jeszcze 25 przeradzały się w wielkie tragedie, lecz dziś, gdy Polska i ZSRR powiązane są ze sobą tak mocno, stosunki polsko-ukraińskie i ukraińsko-polskie nabrały zupełnie nowych wymiarów. Chyba nigdy nie byliśmy wobec siebie tak szczerzy i serdeczni. Dlaczego tak mało pisze się o tym?

Nie chodzi mi tylko o ciekawostki. Ta ludność to przecież jeden z istotnych elementów wzmacniających przyjaźń polsko-radziecką.

Skąd się tu wziąłem?

Winien jestem Czytelnikowi nareszcie wyjaśnienie skąd się wziąłem w Niedzicy, co to za młodzież i dlaczego pytaniami atakuje właśnie mnie?

Otóż Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa" i Rada Okręgowa ZSP zorganizowały w drugiej połowie sierpnia w Niedzicy obóz dla Klubu Dziennikarzy Studentów przy Zrzeszeniu Studentów Polskich. Konkretnie zajęło się tym Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa", jako że obóz zgrupował młodzież z różnych części kraju studiującą w Lublinie i młodzież z Lubelszczyzny studiującą w innych województwach, tę, która po skończeniu studiów ma zamiar podjąć pracę w lubelskiej prasie, bądź też ukończyć jeszcze podyplomowe studium dziennikarskie i wtedy pracować. Organizatorzy zakładali z góry, że niektórzy uczestnicy obozu mogą szukać w przyszłości zatrudnienia w innych województwach, niektórzy zaś z różnych względów w ogóle nie podejmą pracy w prasie.

Kierownikami kursu byli dwaj działacze ZSP: Maksymilian Jelenkowski, asystent na Akademii Medycznej i Andrzej Szwabe, absolwent matematyki UMCS. Ja miałem prowadzić przez pierwszy tydzień zajęcia z kursantami, w drugim tygodniu — kol. Zdzisław Kazimierczuk ze „Sztandaru Ludu", na kilkugodzinne wykłady umówionych było też paru znanych publicystów polskich. Kursanci: studenci różnych lat i kierunków oraz absolwenci. Razem 30 osób. Niniejszą relację przedkładam w przekonaniu, że Czytelnika może zainteresować, jacy ludzie w najbliższym czasie mają zasilać szeregi prasy, którą on czyta. Wątpię jednak, czy odpowiem dokładnie; raczej naszkicuję kontury, dołączając przy tym może i coś niezupełnie na temat, jeśli wyda mi się to ciekawe. Uważałem bowiem zawsze, że każdy materiał prasowy musi być ciekawy, obok spełnienia innych warunków. A jeśli jest nudny, czy nudnie napisany, choćby był najmądrzejszy, nadaje się tylko do zawinięcia weń śledzi. To właśnie powiedziałem na obozie podczas pierwszego spotkania, nazajutrz po moim przyjeździe. Osobiście nie znałem dotychczas nikogo, byłem więc ciekaw.

Dokończenie ze str. 1

Ni archanioł,

Istota satyryczna

Rola pedagogów w szkolnictwie wyższym jest mało uchwytna, stąd niewdzięczna. Pracownik naukowy wyższej uczelni widzi konkretne efekty swych poczynań w liczbie drukowanych publikacji i w skrzętnie przez kwesturę obliczanym pensum zajęć. Sprawność oddziaływania dydaktyczno-wychowawczego, mierzona odpowiedzią na pytanie: czegom nauczył i jakem wychował? — staje się niewymierna. Podważa się zatem sens tzw. pedagogizacji kadry naukowej. Zwłaszcza że student — to już twór ukształtowany przez szkołę podstawową i średnią oraz przez dom i środowisko, to indywidualność o własnym i swoistym spojrzeniu na rzeczywistość, krytycznie nieraz nastawiona do świata „wapniaków". Wstępując na uczelnię, styka się z kolegami ze starszych roczników, którzy przekazują mu gromadzoną latami i pokoleniami spuściznę sądów i opinii o poszczególnych naukowcach i urzędnikach uczelnianych, ich blaskach i cieniach, zaletach i słabostkach. Wiedziony instynktem samozachowawczym, walczy student zarówno ze swym zagubieniem w tłoku uczelnianym, jak z poczuciem niższości wobec kadry naukowej, nadrabiając miną na swój sposób. Tropi śmiesznostki luminarzy wiedzy, zmyśla o nich kawały nie z tej ziemi, z szatańską radością wygrywa typowo ludzkie słabości — zwłaszcza u młodych pracowników nauki pragnących za wszelką cenę, choć nie zawsze taktownie, wyśrubować autorytet i mir u podopiecznych lub wychowanków. Wyzwoliwszy się z kompleksów uczniowskich i upajając się oparami dorosłości, niejeden student nadużywa swobody, zatracając poczucie granicy między wolnością a samowolą i nie rozróżniając woli od swawoli. Z typowo polskim poczuciem humoru i zaostrzonym zmysłem satyrycznym dostrzega zgrzyty i przestoje w nieruchawej machinie administracji uczelnianej, stąd uszczypliwe uwagi obok biadolenia na temat biurokracji i sformalizowanego procesu dydaktyczno-wychowawczego. Z gorzką ironią cytuje dowcipne powiedzonko pewnego wybitnego naukowca: *Szkoła wyższa — to byłaby całkiem dobra rzecz, gdyby nie studenci i egzaminy.* Na co student dochodzi do smętnej konkluzji: *Jam zawalidroga i kłoda w pochodzie mężów uczonych ku osiągnięciom badawczym i awansom naukowym.*

Też człowiek

Nakreślony wyżej konterfekt studenta spozierającego na rzeczywistość akademicką z uśmiechem satyryczno-dydaktycznym jest, oczywiście, celowo przejaskrawiony. Niejeden student dostrzega w uczelni bogate treści i walory, ten szczególnie, który natrafi na właściwy dla siebie kierunek studiów, wykrzesze z siebie sporą dawkę zapału i zainteresowań, zdobędzie się na systematyczną pracę i wykorzysta sensownie zawiązki uzdolnień. Widzi wtedy więcej blasków niż cieni, nie unika zajęć, umie połączyć godziwą rozrywkę ze studiami i skorzystać z każdego niemal wykładu czy ćwiczenia o niekoniecznie najwyższym kalibrze naukowo-dydaktycznym.

Adwersarzem jego jest żaczek leniwy lub niezdolny, wykolejony lub rozpieszczony, co win za niepowodzenia szuka nie w sobie, ale poza sobą: w pechu, w błędach pedagogicznych uczelni, w przewrotności i niesprawiedliwości kadry pedagogicznej. O ile tamten akademik orze w cichości ducha, nie rozpowiadając o osiągnięciach, o tyle ten żaczek rozgłasza o rzekomych krzywdach i robi złą sławę swej uczelni macierzystej, której przecież konsekwentnie powinien się wstydzić w razie uzyskania dyplomu. I tu pewnie kryje się jedno z ważniejszych źródeł kąśliwej famy o pedagogice akademickiej.

Wiemy jednak, że na dobrą sprawę nie ma idealnych akademików i doszczętnie lichych żaków. Student — to także człowiek, przeto ni archanioł, ni Belzebub. A człowiek jest istotą skomplikowaną, przeżywającą wzloty i upadki, fazy nasilenia studiów i pogrążania się w próżniaczy relaks, stany ascezy i wyuzdania na przemian. Uczelnia chętnie przypisuje wzloty studenckie sobie, zwalając winę za upadki na wpływy pozauczelniane. Rzecz zatem wymaga sondażu obiektywnego i naukowego.

Galeria postaw

Red. E. Chudziński w artykule „Edukacja pana magistra" („Student" 1967, nr 2) podaje, że na podstawie badań socjologa dra W. Kwaśniewicza w Uniwersytecie Jagiellońskim 70 proc. studentów nie ma żadnego stosunku emocjonalnego do zajęć. Autor konkluduje:

Jak dotąd — szkoła wyższa nie dopracowała się takiego systemu kształcenia, który zmuszałby studenta do samodzielnego i aktywnego zdobywania wiedzy, który nie hodowałby w nim „infantylnych" odruchów obronnych, a raczej wywoływał indywidualne zainteresowania i w pełni świadomą odpowiedzialność za pięcioletni pobyt w uczelni.

Według badań mgr H. Romanowskiej-Łakomej z Instytutu Nauk Społeczno-Politycznych lubelskiej WSR („Student" 1971, nr 3) ponad 70 proc. studentów uzależnia wynik egzaminu od przypadku i zdolności. Pokrywa się to z wyżej wzmiankowanym wnioskiem dra Kwaśniewicza, skoro tylko 30 proc. studentów liczy na egzamin jako sprawdzian motywacji pozytywnej i osobistego zaangażowania. Niezdanie egzaminu — jak twierdzi 60 proc. studentów — to wina „pecha". Jedna piąta przypisuje niepowodzenie słabym zdolnościom i marnej pamięci, a 88 proc. skarży się na niesprawiedliwość oceniających, którzy w ogromnej większości wymagają mechanicznego opracowania szczegółowych pojęć i problemików oraz przykładów wyłącznie z wykładów i ćwiczeń.

Podobne wypowiedzi ujawniła ankieta 600 badanych studentów, przeprowadzona w roku akademickim 1970/71 przez ZMS i ZSP w Akademii Medycznej w Lublinie. Skarżono się na to, iż encyklopedyczna pamięć szczegółików gra większą rolę niż interpretatorska umiejętność borykania się z przypadkami problemowymi. Student zdaje sobie sprawę, że najwięcej umie ten, co się najwięcej uczy, ale przez egzamin przebrnie szczęściarz i sprytciarz, który opanował nie tyle umiejętność studiowania, co technikę zdawania. Ale i technika zdawania nie pomoże, gdy się trafi na egzaminatora okrutnego, dręczącego do późnych godzin wieczornych czyhaniem na najdrobniejsze potknięcie zaszczutej ofiary, która nie potrafi wzbudzić sympatii w myśliwym.

Na ostatnim IX Plenum Rady Naczelnej ZSP padały dość ostre wypowiedzi, jak na przykład o przeciętności studentów, która jest odbiciem przeciętności naukowców, wykładów i ćwiczeń („Perspektywy" 1971, nr 29). W filipikach studenckich z cyklu „Co chcemy zmienić w naszych uczelniach" żąda się zerwania z pedagogiką, rozumianą jako historia doktryn i katechizm zasad oderwanych od praktyki, i woła się o tzw. system punktowy polegający na tym, że student musi uzyskać pewne minimum punktów, konstruując zgodnie z zainteresowaniami indywidualny plan studiów, oparty na dwóch listach przedmiotów: obowiązkowych i do wyboru. Taki program indywidualny, wspomagany przez pracę kół naukowych, przyczynić się może do właściwej selekcji kandydatów do przyszłej pracy naukowej („Itd" 1971, nr 27, s. 5 i 7).

Powyższe głosy warto wziąć pod uwagę, zwłaszcza że niepokoi niska poniekąd sprawność studiów. Według danych A. Świeckiego („Życie Warszawy" z 18 maja 1971) — w skali ogólnopolskiej nie zalicza I roku 20 proc. studentów, a II roku

co to za jedni. Każdy jechał do Niedzicy na własną rękę, na ogół na miejsce docierał późnym popołudniem, wieczór przeznaczano na wypoczynek.

Siedzimy więc rano w świetlicy nad remizą, czekamy, aż się wszyscy zejdą (do miejsca posiłku mieliśmy około kilometra, dobra rzecz: trzy razy dziennie w tę i z powrotem, rozciągało się jednak w czasie).

Siedzimy zatem, magnetofon obraca krążek. Aparaturę i taśmy przywieźli swoje, magnetofon grzmi mocnym uderzeniem niby kompania moździerzy.

— Dlaczego tak głośno?

— U nas tak zawsze — mówi jedna z dziewczyn. — To ci, co działają w radiu akademickim, nastawiają aparaturę na cały regulator. (Radio akademickie, nadaje swojej audycje drogą kablową dla mieszkańców domów akademickich — przypomnienie moje — RW). Tu tego nie zrobili, salka trochę za mała.

— Można ogłuchnąć. I nie słyszy się dobrze wykonawców — ja na to.

— A wie pan, że mam już kłopoty ze słuchem — mówi chłopak nazywany „Myszką". — Po powrocie muszę pójść do laryngologa.

Lecz przekonuje mnie, że im głośniej, tym lepiej słychać.

Drugi dodaje coś o muzyce pokolenia, której ja, starszy o te 15 czy więcej lat od nich, być może, nie jestem w stanie zrozumieć, niech się nie gniewam, właśnie ze względu na wiek. Oni, jako przyszli dziennikarze, powinni mieć krytyczny stosunek do gustów poprzednich pokoleń, zwalczać pewne upodobania.

Pytam, czy nie powinni mieć też krytycznego stosunku do upodobań własnego pokolenia, atakować snobizmy, odsiewać ziarno od plew? Właśnie oni, przyszli dziennikarze!

Przeprasza, ścisza aparaturę. Wydaje mi się, że widzę ulgę na niejednej twarzy.

Jak robimy biuletyn?

Program obozu do ostatnich dni nie był ustalony. Najpierw planowano usystematyzowane wykłady o historii prasy, poszczególnych gatunkach dziennikarskich, organizacji pracy redakcji, metodach pracy dziennikarza itd. Potem zaczęliśmy wracać z obłoków na ziemię. Ileż trzeba by czasu na to wszystko, ilu wykładowców, ile wysiłku powinni dać z siebie słuchacze? A jeśli nie przyjedzie któryś z zapowiedzianych wykładowców? Prognozy pogody zapowiadały bezchmurne niebo i upały. Czy to najlepszy czas na wkuwanie? Czy nie lepiej odłożyć tamte tematy na zimę, rozłożyć je w czasie?

Ostatecznie stanęło na tym, że obozowicze będą wydawać na powielaczu biuletyn o życiu Niedzicy i okolic oraz o samym obozie — a przy jego produkcji prowadzić będziemy luźne dyskusje na tematy warsztatowe i inne, zaś jako dodatkowe atrakcje traktować przyjazdy innych dziennikarzy.

Pierwsze zebranie wykazuje, iż obecni różnią się swoim dotychczasowym doświadczeniem w kontaktach z prasą. Niektórzy już to i owo publikowali, inni nie mają żadnego doświadczenia. pięciokrotnie wyłaniamy kolegium redakcyjne pierwszego numeru, dzielimy resztę na kilka działów, poszczególni autorzy proponują swoje tematy. Jest jednak jakoś niemrawo. Może z gorąca?

Wieczorem — pierwsze czytanie rękopisów. Materiały różne, na ogół sporo w nich wody. Najlepszy — paradoks — sama woda. J., III rok humanistyki, daje felieton o twórczości ludowej w Niedzicy. Wyszlifowany, jak brylant. Ze strojów regionalnych nie noszą tu już od dawna, orkiestry ludowe zostały zastąpione przez big-beat, pozostali tylko hafciarze, tkacze, rzeźbiarze świątków i bajarze. Ani jednego konkretu. Zbiorowo odrzucamy. Podobny los spotyka kilka innych tekstów. Na drugi dzień wieczorem J. przynosi poprawiony felieton. Właściwie napisany od nowa, oparty nie na własnych poglądach, lecz na realiach. Okazuje się, że jest odwrotnie. Nie ma rzeźbiarzy, hafciarzy i bajarzy. Za to w co drugim prawie domu tka się dywany.

— Drobna sprawa, a zrozumiałem wiele — mówi J.

Inni też poprawiają. Niektórzy są zaskoczeni wymogami takiej skrupulatności. Wielu niezadowolonych. W radiu akademickim nie było przecież takiego zawracania głowy.

Wieczorem wyklepują na matrycy swoje kawałki. Mamy maszynę do pisania. Jeden dyktuje, drugi pisze, dwóch powiela, reszta tańczy. Megafon dudni całą mocą, podłoga ugina się pod nogami. Taniec bez przytulania się, na odległość, nie parami, zbiorowo, to jest trans, nie taniec. Po sąsiedzku — kolonia dziecięca. Wychowawczyni z kolonii obok przychodzi, prosi żeby ciszej, dzieci nie mogą spać. Przychodzi drugi raz. Trochę ściszyli. Przychodzi trzeci i wyzywa już od chamów. Nie pochwalam formy, jednak pretensje są słuszne. Mówię to. Tańczymy razem, ciszej nie jest, za to atmosfera się ochładza.

Dwudziesta trzecia, tancerze wykruszają się, w remizie zostają tylko produkujący biuletyn. Wychodzimy grupą w rozgwieżdżoną noc, na spacer, prawie pod Czorsztyn i z powrotem. Znów pytania:

— Czy gdyby redagował pan normalną gazetę, siłami zawodowych dziennikarzy, też wybrzydzałby pan na brak konkretów? Też czepiał się usterek stylistycznych, drobnej kosmetyki? Jutro pokażę panu, jakie bzdury ukazują się w prasie. Mam kilka gazet z mego województwa, specjalnie przywiozłam.

Nowy atak:

— Dlaczego w prasie utrzymuje się od lat tylu dziennikarzy, którzy nie mają nic do powiedzenia, nic ciekawego nigdy nie pisali, a nawet najdrobniejsze ich notatki są mętne, dęte; zawsze z pełnym uznaniem odnoszą się nawet do enuncjacji płynących z niskiego szczebla, bez odrobiny dystansu, krytycyzmu? Jeśli mówi pan, że dziennikarz powinien czuć się działaczem społecznym, to czy prawdziwy działacz może wazelinować? A ileż waeliny w prasie, nawet w tych miejscach, gdzie aż się prosi o gorczycę?

Zawodowa solidarność zmusza mnie do obrony Wyjaśniam, jakie trudności pokonuje się nieraz przy redagowaniu dziennika, ile razy pośpiech zmusza do uproszczeń i pójścia na łatwiznę. Nie chcą wierzyć, twierdzą, że to uniki.

— No dobrze — mówię. — W dwadzieścia kilka osób robiliście ten biuletyn trzy doby. Czy zdajecie sobie sprawę, że w przeciętnej gazecie codziennej, żeby wykonać plan, najwyżej trzech dziennikarzy musiałoby napisać to wszystko w ciągu jednego dnia pracy? Że muszą tak pracować dzień w dzień?

Rano na drzwiach remizy wisi pierwszy numer biuletynu. Pięć stron plus tytułowa. Andrzej i Tadzio piszą o obozie, M. D. i R. P. — ogólnie o Niedzicy, — o braku piwa i kufli do piwa (o piwie chcieli pisać prawie wszyscy, trzeba było wyselekcjonować autora). M. W. — o Klubie Rolnika, PKP — o turystyce, DINKI przypomina legendę o Indianach w Niedzicy, J. G. podaje wynik meczu sportowego w celotkę z miejscową młodzieżą (nasi chłopcy wygrali, za to ich dziewczęta dały studentkom straszne lanie).

Co ich boli...

Wybieramy kolegium do zredagowania następnego numeru. Idzie już dużo lepiej. Pękła jakaś bariera psychiczna. Zgłaszają tematy, korygują się nawzajem.

Niech nikt nie myśli, że nie korzystamy z pogody, wakacji. Rozmawiamy na powietrzu, nad Niedziczanką, niewielkim potokiem górskim, z zupełnie ciepłą wodą. Zbudowaliśmy w pewnym miejscu małą tamę z kamieni, woda podniosła się prawie do pasa, można przepłynąć ok. 10 metrów. Drobiazg, lecz orzeźwia.

Zaproszeni wykładowcy, jak dotychczas, zawodzą. Ale wielkiego żalu nie widać. W południe przyjechali jednak Lesław Gnot, naczelny redaktor „Kuriera Lubelskiego", i Tadeusz Fita, wicedyrektor wydawnictwa.

Gnot opowiada, jak redagują studencki dodatek „Konfrontacje". Sypie parę anegdot, nawet nazywa ten dodatek „kompromitacje", choć ostatnio wyrosło przecież w nim kilku dziennikarzy. Prosi o uwagi.

Ktoś pyta, czy dla 18 tysięcy studentów lubelskich nie przydałoby się specjalne pismo, np. miesięcznik. Ktoś inny odpala, że po co, skoro są już pisma studenckie w Warszawie i Krakowie. Z., IV rok nauk ścisłych, zarzuca, iż prasa studencka podlega tym samym rygorom biurokracji, co wszystkie inne czasopisma. Albo jest pismo, dobre czy złe, ale jest, ma budżet i etaty i wtedy wychodzi, bez względu na sens. Albo nie ma i choćby było najbardziej potrzebne, nie będzie. Jeśli prasa studencka ma wnosić ferment intelektualny, różnić się czymś od prasy robionej przez profesjonalistów, nie powinna być etatowa. Czy RSW „Prasy" nie stać na to, by przynajmniej w kilku ośrodkach akademickich wykroić trochę pieniędzy ze swego budżetu i dać młodzieży na wydanie pisma, bez etatów, na zasadzie jednodniówek? Zgłosi się grupa chętnych do wydawcy, przedstawi ciekawy program, a on im pomoże. Proszę bardzo, publikujcie! Sprawdzą się, będzie im pomagał. A wypuszczą knota jednego, drugiego — koniec panowie! I pisma nie ma. Aż następna grupa zgłosi się z nowym projektem. Czy to przerasta nasze, polskie, możliwości?

D., lat 20, II rok, proponuje, by na takiej samej zasadzie działały teatry studenckie. Obecnie weszły one na drogę zawodowstwa; mają solidniejszy warsztat, lecz przestały być awangardą. Powielają stare pomysły i idee.

Rozmowy na forum ogólnym i rozmowy kameralne:

B., 22 lata, absolwentka humanistyki: — Jak ktoś zajmie odpowiedzialne stanowisko w organizacjach młodzieżowych, na ogół siedzi na nim do końca studiów. Uważa się za nieomylnego. Na każdy niemal obóz studencki przyjeżdżają na inspekcje działacze i... piją na umór. Kierownik obozu stawia, chce być dobrze oceniony. Nawet rajfurzy! Zdarzył mi się taki wypadek. Budzi mnie w nocy czyjaś obecność. Pijany mężczyzna pcha się do łóżka, ja go odpycham, on zatyka mi usta poduszką i syczy: „nie krzycz głupia, załatwię ci wycieczkę zagraniczną". Z trudem się wyrwałam, może tylko dzięki temu, że był taki pijany. Koleżanki z pokoju na pewno słyszały to, nie pomogły, udawały, że śpią. Napastnik był właśnie wizytatorem z organizacji młodzieżowej. Potem dowiedziałam się, że przyprowadził go do naszego pokoju kierownik. Długo nie mogłam zasnąć ze zdenerwowania, a gdy już, obudziły mnie szmery na sąsiednim łóżku. On przyszedł do koleżanki; przyjęła go. Pojechała za granicę. Czy możemy mieć szacunek i zaufanie do takich działaczy?

E., 23, absolwentka:

— Niektórzy działacze ZSP zamiast słuchać studentów, prowadzić z nimi rozmowy, biegają tylko po dyrektywy na Aleje Raciborskie i na 22 Lipca. Wszystko z myślą, by po skończeniu studiów wylądować na ciepłych posadkach. W tej sytuacji Zrzeszenie zatraciło charakter organizacji ideologicznej, intelektualnej, nabrało cech bractwa o różnych stopniach wtajemniczenia. Nie góra musi się liczyć z dołami, zalegać o ich poparcie, lecz doły czapkują górze. Na zebraniach mówi się nie to, co się myśli, a to, co będzie dobrze słyszane Rezultaty tego widzieliśmy w marcu 1968 roku. Nie było działaczy młodzieżowych mających autorytet wśród młodzieży. Pojawili się przypadkowi apostołowie. W czasie głośnego wiecu w Chatce Żaka jedynym, który był w stanie go poprowadzić, panować nad zbyt wzburzonymi umysłami, przedstawiać swoje zdanie masie, okazał się nie działacz studencki, lecz sekretarz partii na uczelni, młody pracownik naukowy. *)

Rozmowa z dozorcą

Noc. Duszno. Najmniejszy powiew wiatru nie przynosi ulgi. Dozorca istniejącej tu placówki naukowej hodowli roślin pali ognisko. Opowiada:

— W jadwencie Matka Boska ukazała się Gierkowi. Tak mu godoła: zostań prezydentem to jo ci pomozem. On usłuchoł. I widzicie: spełniło się. Słonecnie, zbiórki dobre i nie lyje dysc.

Dozorca wyciąga harmonijkę ustną. Pewnie zagra coś z Podhala. E, nie. „Habanerę" z „Carmen" Bizeta.

Dla kogo nagroda?

Paliło się schronisko w Sromowcach. Przyjechało kilka straży, między innymi ze słowackiej strony. Ugasili. Byli i strażacy z Niedzicy. U siebie w bieżącym stuleciu(!) nie mieli poważniejszego pożaru. Po drodze uszkodzili wóz.

Mówi H., lat 21, III rok humanistyki:

— Proszę, ile tu domów krytych eternitem i to wyciskanym tak, że wyglądają na gont, po obrośnięciu mchem — nie do poznania. Nowe budownictwo nawiązuje stylem do tradycyjnego, ludowego. U nas, w Lubelskiem, nastawiano do licha i trochę domów — pudełek, jednakowych jak w całej Polsce. Materiałów budowlanych brak. Dostaje ten, który ma najlepsze znajomości, lub spalił się. Czasem dostaje się nieoczekiwanie, bez prośby, jeśli powiat wytypował daną wieś do akcji „zmieniamy strzechy na eternit". Dobry temat, co?

Po południu Fita zapoznaje młodych z możliwościami zatrudnienia w pismach RSW „Prasa" i warunkami pracy. Informuje, że nagrodą dla dwóch najlepszych uczestników będzie współpraca z działem miejskim jednej z lubelskich redakcji.

Jeśli chodzi o mnie, uważałbym, że otrzymanie dwóch najlepszych na współpracowników może być w równym stopniu korzystne dla redakcji jak i dla nich. Przymrużyłbym oko na określenie „nagroda". Znajdzie się zdolny, przyzwoity gość, zacznie dobrze pisać, był na obozie czy nie i bez względu na inne okoliczności, chętnie każdy wydrukuje mu materiał.

Drugi numer biuletynu znacznie lepszy od pierwszego. Żałuję, że nie będę przy redagowaniu dalszych. Wyraźnie rozkręcają się z dnia na dzień. Widać kilku uzdolnionych, podobnie jak widać już tych, którzy są tu przez pomyłkę.

Mamy już wiadomości o betoniarni w Niedzicy, o bibliotece publicznej, reportaż o strażu nocnym, o instytucie hodowli roślin, o szkole, o miejscowym działaczu Józefie Gali, kronikę wypadków, kronikę towarzyską, „michałki". Powielanie szło całą noc. Rano stoją ludzie pod remizą i czytają.

Opuszczam obóz. W Czorsztynie czekamy: ja na autobus do Krakowa, oni w kolejce do spływu Dunajcem.

Są mniej zadowoleni z tego lepszego numeru, niż z pierwszego gorszego.

P., lat 22, V rok, krzywi się:

— Już po tygodniu wiem, że to jednak nie to, czym chciałbym się zajmować. W moim mieście na przykład wytworzył się dziwny styl bycia działaczy ze szczebla powiatowego. Jeśli przywiozą coś nowego, atrakcyjnego do sklepów, najpierw kupują to spod lady żony przewodniczących i dyrektorów, a na końcu, co zostanie, zwykli klienci. To nie jest zgodne z zasadami ustroju. Jeśli ktoś chce kierować określonym zespołem społecznym niech żyje tak jak inni. Jeśli jest to życie za blade, niech walczy o lepsze, lub ustąpi stołka drugiemu, gotowemu do identyfikowania się z masami.

R., lat 22, V rok:

— Dlaczego o tym nie piszecie? Dlaczego nie dostrzegacie klik? Znam człowieka, jest dyrektorem mego ojca, ojciec mówi, że dyrektoruje już w 10 przedsiębiorstwie po wyzwoleniu i wszędzie zawala robotę. Nie lepiej dać takiemu nawet pięć patyków renty i rozstać się z nim?

J. odkrył w sąsiedniej gromadzie aferę. Wmieszany jest w nią organista i sekretarz GRN. Chce o tym napisać do „Gazety Krakowskiej".

— Jak pan myśli, puszczą?

M. pyta, jak oceniam obozowiczów? Czy z nich coś będzie? Czy mają szanse, przynajmniej ci najlepsi, dostać się do pracy w prasie, głosić swe poglądy, walczyć o swe ideały?

Czy mają szanse? Boże wielki, może ich jakoś przygaszą, zanim dostaną się na łamy? Może sami się przygaszą? Bo jeśli nie, to dopiero mogliby nagotować nam bigosu!

* Od redakcji: Mowa o dr A. Korobowiczu. Był jednak przedtem przez wiele lat działaczem ZSP.

ni Belzebub

— 23 proc. Ze stu pierwszoroczniaków dobrnie do dyplomu 60—70, z tego 30 w terminie. Pocieszmy się, że w 17 krajach zachodnich odsetek nie kończących studentów waha się od 10 do 60, zważmy jednak, że najniższym odsetkiem odsiewu 10 proc. poszczycić się mogą takie kraje, jak Wielka Brytania i Japonia dzięki bardzo ostrej selekcji już w szkole średniej, w związku z czym do szkolnictwa wyższego trafia narybek doborowy i wyborowy.

Nasze państwo wydaje na szkolnictwo wyższe 4 miliardy złotych rocznie, a więc każdy procent odpadu i odsiewu — to 40 milionów złotych. Mimo nakładów na kształcenie wyższe kubatura pomieszczeń uczelnianych spadła w ostatnich 5 latach o 3 metry sześcienne na studenta, a liczba studentów na jednego pracownika naukowo-dydaktycznego wzrosła o 25 proc. Bezsprzecznie, te trudności obiektywne muszą wpływać na komplikacje natury subiektywnej. I tak z sondażu Międzyuczelnianego Zakładu Badań nad Szkolnictwem Wyższym wynika, że połowa studentów I roku wywraca się o próg dydaktyczny, czyli odmienny sposób studiowania w porównaniu ze szkołą podstawową i średnią, a połowa o próg formalny (brak informacji o toku studiów). 25—40 proc. skarży się na bezosobowy stosunek kadry naukowej do studentów (próg psychologiczny), tyleż na niejasność wykładów i ćwiczeń oraz na poczucie osamotnienia i wyobcowania (próg środowiskowy). Własne badania utwierdziły mnie w przekonaniu, że stosunkowo najmniej kłopotów wychowawczych sprawiają mimo wszystko I i II lata, choć do studiów pochodzą zbyt koniunkturalnie, ceniąc przede wszystkim te zajęcia, które pomóc mogą w kolokwiach i egzaminach. Najburzliwsze są III roczniki, czując się na półmetku weteranami i wygami, a nie lękając się jeszcze perypetii dyplomowych, stąd pewne rozprężenie. Na IV i V roku zaczyna się zarysowywać motywacja pozytywna, emocjonalne a nie koniunkturalne podejście do zajęć i poszczególnych przedmiotów, przemyśliwanie o dyplomie i przyszłości.

Na takie czy inne postawy studenckie rzutuje w pewnym sensie również zdrowotność. Niestety, z tym zdrowiem jest nietęgo. Tylko jedna trzecia studentów nie choruje. Jedna trzecia cierpi na różne dolegliwości, a resztę nękają choroby przewlekłe.

W świetle poważnych rozważań wydaje się, że system selekcji kandydatów na wyższe studia powinien się oprzeć raczej na kryteriach uzdolnień, zamiłowań oraz zdrowia psychicznego i fizycznego niż na punktach preferencyjnych, które tak namiętnie zwalcza prof. dr Cz. Maśliński w artykule „Punkty czy zdolności" („Perspektywy" 1971 r. nr 29):

Nie należy przyznawać żadnych punktów dodatkowych, gdyż przynoszą one więcej szkód społecznych niż korzyści. I nie spełniają nadziei, które były z nimi związane (...). Celem studiów, jest moim zdaniem, przygotowanie elity umysłowej społeczeństwa, jedynej elity, której istnienie jest uzasadnione, a nawet niezbędne w społeczeństwie socjalistycznym (...). Drugim zadaniem szkoły wyższej jest wykształcenie specjalistów — dużej grupy osób dobrze zawodowo przygotowanych — tych, którzy potrafią rozwijać naszą gospodarkę, szkolnictwo, lecznictwo, kulturę itd. (...). Należy opracować nowy system kryteriów i ocen uwzględniający stopień inteligencji, zdolność samodzielnego myślenia i predyspozycje do pracy twórczej, a nie tylko pamięciowe opanowanie wiedzy (...). Należy dążyć do stworzenia takich warunków, aby zwiększyło się zainteresowanie studiami wyższymi wśród najzdolniejszych, najbardziej rzutkich i najbardziej odważnych, tych, którzy nie boją się ryzyka i nie unikają decyzji (...). Chodzi o to, aby uczelnia nie stawała się azylem dla unikających ryzyka, dla chwytających się stabilizacji jako jedynego ratunku, miejscem dla słabych i zalęknionych (...). Wśród kadry nauczającej panuje dość zgodna opinia, że około 20—40 proc. obecnych studentów nie nadaje się w ogóle na studia wyższe. Dla zachęty wprowadza się więc mierniki tzw. sprawności nauczania — największego absurdu, jaki może istnieć w szkole wyższej, a który polega na tym, że prowadzone jest swoiste współzawodnictwo w przepuszczaniu najsłabszych. Im większa bywa sprawność nauczania, tym większa jest zazwyczaj tolerancyjność wobec słabych i źle przygotowanych studentów czy wobec nieuków (...). Ludzie będą kaleczeni przez niedouczonych lekarzy, a psychika i umysły dziecięce będą deformowane przez niedouczonych nauczycieli. Będziemy ciągle niedomagali i ciągle będzie nam brakowało wiedzy i wiadomości fachowych.

Tyle prof. Maśliński, dyrektor Instytutu Anatomii Patologicznej Akademii Medycznej w Łodzi.

Pocieszmy się jednak, że powyższa wizja z Apokalipsy, którą roznuwa zatroskany o przyszłość narodu wybitny naukowiec, jest przesadzona i że wśród naszej studenterii tkwi dużo mniejszy procent niedouczonych, niedobitków i niedopitków. Niemniej jednak na postawy studenckie ma niemały wpływ perspektywa przyszłości. A tymczasem ankieta pt. „Absolwent o swojej pracy", przeprowadzona przez RN ZSP wśród 1300 absolwentów z lat 1966—69, wykazuje, że 16,2 proc. zatrudniono niezgodnie z wyuczonym zawodem, 50,5 proc. nie realizuje swych aspiracji zawodowych w pracy, 20 proc. pracuje tam, gdzie nie potrzeba wyższego wykształcenia, 47 proc. chce zmienić miejsce pracy, bo przeważnie robota nie odpowiada ich specjalności lub też nie układa się współpraca z kierownictwem.

Dodajmy do tego dowcipną notkę („Polityki" 1970, nr 41):

Na posadach ekonomistów w polskiej gospodarce pracuje obecnie 1765 inżynierów, 1370 rolników, 722 matematyków i fizyków, 7100 polonistów, filozofów, prawników, historyków, muzykologów, 50 lekarzy, 57 nauczycieli, 15 kompozytorów, 3 aktorów i 3 tancerzy. A mimo to się kręci.

Kręci się, ale czyim kosztem, skoro kraj wydaje 100—170 tys. złotych na wykształcenie jednego absolwenta uczelni wyższej? I jakiż może być stan psychiczny tudzież postawa absolwenta sfrustrowanego i wyobcowanego? Pedagogika częstokroć zdradza swą bezsilność wobec studenta, który ma przed oczami takie perspektywy i dochodzi do wniosku, że wykształcenie bywa nierentowne.

Frontem pedagogicznym

Wydaje się, że główne zadanie pedagogiki szkolnictwa wyższego — to zarówno badanie postaw studenckich takich, j a k i m i są (kierunek empiryczny), jak też kształtowanie takich postaw, jakie p o w i n n y b y ć (kierunek normatywny). Prof. A. Przecławska i J. K. Sawa, pisząc o polskich ideałach studenckich („Polityka" 1971, nr 20) wyróżniają trzy dominujące typy studenta na podstawie odpowiedzi ankietowych na pytanie, co warto powiedzieć obcokrajowcom o Polsce. T y p m a r t y r o l o g i c z n y pragnie ukazywać światu dziejowe męczeństwa narodu. T y p w i k t o r y j n y dąży do propagowania chwały oręża i poczynań mocarstwowych w historii kraju. T y p k u l t u r o w y zmierza do zaimponowania polskim dorobkiem cywilizacyjnym i kulturalnym. Ten trzeci jest najrzadszy, wydaje się jednak, że **powinien być najczęstszy, bo zapatrzony bardziej w teraźniejszość i przyszłość niż przeszłość** którą może za bardzo jeszcze żyje nasza literatura, sztuka i tradycyjnie myślące starsze pokolenie. **Tak oto zarysowuje się kierunek ofensywy pedagogicznej na trzystutysięczną armię studentów polskich.**

Bohdan Komorowski

Uchylanie masek

Maria Bechczyc-Rudnicka

OD wielu lat już mam zwyczaj (chyba nawyczkę literacko-dziennikarską), że gdy dostaję do rąk nową książkę, patrzę natychmiast, kto ją wydał. Tak też było przy otrzymaniu obszernego (stron 320 liczącego) tomu pt. „teatr...? Rozmyślania w antraktach". Otóż fundamentalną tę pracę znanego krytyka teatralnego, Andrzeja Hausbrandta, opublikowało Wydawnictwo Związkowe CRZZ i firma ta, figurująca na karcie tytułowej, mówi coś z góry o przeznaczeniu książki.

A mianowicie to, że adresatem jej jest miłośnik teatru z kręgów dopiero wtajemniczanych, bo o cóż może chodzić wydawnictwu reprezentującemu CRZZ, jeśli nie o sprowadzenie na widownię teatralną związkowca — widza świadomego?

Myliłby się jednak ten, kto by przypuszczał, iż praca Hausbrandta jest elementarnie dydaktyczna, albowiem już istota jej — zastanawianie się nad „samym zjawiskiem społecznym teatru" — implikowała rozważania o charakterze filozoficznym i psychologicznym. Hausbrandt przemawia wprawdzie tonem dobrego pedagoga, lecz wykład jego ma, obok prawd oczywistych, powszechnie akceptowanych, również niejeden moment dyskusyjny. Fakt ten zresztą znalazł doskonałe odbicie w wielokropku i pytajniku tytułu. I to, że imponująco treściwa książka Hausbrandta zmusza czytelnika raz po raz do zamyślenia się, do zajęcia własnego stanowiska — jest jej kardynalną zaletą.

Hausbrandt potraktował swój temat z zacięciem encyklopedycznym, konfrontując nieustannie poglądy filozofów, historyków, przednich i najprzedniejszych teatrologów tudzież „sług teatru" (że, dzięki J. Kosińskiemu, skorzystam z pięknego powiedzenia Jouveta) — od Erazma z Rotterdamu po Grotowskiego. Nie potrzebujemy schlebiać autorowi tomu „teatr...?" naiwną supozycją, iż dotarł drogą bezpośrednią do Baharaty bądź efektownej wypowiedzi twórcy japońskiego teatru XV w. „No", Seami, gdyż i bez tego na pewno źródła cytacji w tej książce były liczne i różnorakie, a wirtuozeria, z jaką Hausbrandt operuje cytatami, budzi podziw. Wybór ich pozwala czytelnikowi delektować się tym, co było na przestrzeni wieków, rzekłby Francuz — la fine fleur myśli teatrologicznej. Zaprezentowanie owego najsubtelniejszego „kwiecia" intelektualnego stanowi niewątpliwie jeszcze jeden powód do poklasku dla autora.

Podtytuł „Rozmyślania w antraktach" jest naturalnie czystą kokieterią. W rzeczywistości książka Hausbrandta to owoc wielostronnych studiów oraz długich doświadczeń człowieka związanego z teatrem z racji zainteresowań krytyka i zajęć kierownika literackiego w warszawskim „Ateneum". Toteż siedemnaście rozdziałów tomu zawiera mnóstwo ważnych problemów, nurtujących zarówno ludzi sceny i jej zaplecza, jak wnikliwszych teatromanów.

Punktem wyjścia autora jest stwierdzenie, że człowiek to temat, środek i cel teatru. *Teatr* — czytamy — *zawsze w sposób bezpośredni dotyczy człowieka... W teatrze jedynym twórcą jest człowiek, a jedynym tworzywem ciało i psychika ludzka... Jedynie teatrowi wystarcza sam człowiek. I jedynie jemu potrzebny jest aż człowiek. Człowiek — wykonawca najbardziej wszechstronny, najczulszy instrument gry, człowiek odbiorca — pierwsza i ostatnia racja tej przedziwnej, arcyludzkiej sztuki.*

Za naczelną tezę książki można uważać myśl, że teatr jest szczególną, dialektyczną jednością dwu elementów: sceny i widowni.

Pieczołowicie zestawił autor kursujące w sferach fachowych poglądy na technikę gry aktorskiej — osławioną „grę z dystansem" i „przeżywanie". Najbardziej przekonywające wydaje się przytoczone przez Hausbrandta zdanie Jana Kreczmara: *Upraszczając nieco dla jasności obraz, można powiedzieć, że Diderot nie uznaje emocji, tylko intelekt, Brecht — przekłada intelekt nad emocję, Stanisławski — przyznaje intelektowi rolę główną w pierwszej fazie tworzenia, a emocji w drugiej. I to jest właściwe postawienie sprawy. Aktor — nadawca i aktor znak są fizyczną jednością, ale ta jedność rozkłada się w czasie na dwie fazy: fazę koncepcyjną i fazę realizacyjną.*

Mając wybitne nastawienie społecznika, Hausbrandt położył szczególny nacisk na rolę widowni, z punktu widzenia twórczości teatralnej oraz kultury społecznej. Zarliwość jego argumentacji skłania mnie do zgłoszenia dezyderatu, by zechciał przy najbliższej okazji uzupełnić swe rozważania udostępnione w książce — jeszcze bardziej dociekliwą analizą widowni d z i s i e j s z e j, tak przecie złożonej, jak nigdy przedtem w historii świata. Nasuwa mi się bowiem od dawna wątpliwość, czy nie zbytnio się u nas szafuje terminem „widz mieszczański" tudzież twierdzeniem, że współczesny widz, nowy widz proletariacki, en masse przychodzi do teatru po rozwiązanie problemów otaczającej go rzeczywistości. I w związku z tym może warto by zrewidować stosunek do wielokroć potępionego iluzjonizmu w teatrze, gdyż kto wie, czy nie mieli trochę słuszności starożytni mawiając: „Mundus vult decipi"... Zresztą sama katharsis przez widowisko wymaga chyba w pewnej mierze iluzji, przynajmniej po jednej stronie rampy, skoro dla oczyszczenia widza z kompleksów aktor powinien być, że tak powiem — jego emocjonalnym kaskaderem. Innymi słowy, widz musi wierzyć w „przeżycie" postaci scenicznej, a wiara i iluzja to, dalibóg, rodzone siostrzyce.

No, ale przepraszając za przydługi „nawias", wracam do rzeczy szczególnie mi się w książce podobających.

Jest to przede wszystkim spokojne spojrzenie na sytuacje teatralne częstokroć pochopnie nazywane kryzysem. Specjalny rozdział, zatytułowany arcytrafnie „Permanentny kryzys teatralny", przypomina różne momenty dziejowe, kiedy się biło na alarm, a przecie teatr zawsze wychodził z przesilenia cało. Hausbrandt przeanalizował różnostronnie przyczyny dzisiejszego „zagrożenia". Najcelniejszy wydaje się passus w rozdziale „Dialektyka sztuki teatralnej", dotyczący „rozejścia się szerokich mas odbiorców z wąskim gronem twórców".

Bardzo cenne rozważania zgrupowane pod tytułem „Tradycja a postęp" zaczynają się od wymownego stwierdzenia: *„Równie niepokojące jest hasło „bez nowinek", jak hasło „bez tradycji".* Dalsze rozwinięcie tej zdrowej maksymy znajdujemy w interesujących rozdziałach: „Awangarda jako zjawisko stale" oraz „Między teatrem nowym, nowoczesnym a współczesnym".

Oczywiście autor nie poskąpił miejsca sprawie „przybliżania klasyków do współczesnego widza". W kwestii tej, pasjonującej od dłuższego czasu świat teatralny i literacki, Hausbrandt zajmuje, zdaje się, stanowisko umiarkowanie „awangardowe". Tak czy inaczej, prezentuje sprawę obiektywnie. Spośród cytatów „za i przeciw" wybrałem z upodobaniem wypowiedź znanego aktora francuskiego, Jeana Martina, który powiedział: *Można uprawiać „nowy teatr" wystawiając „Fedrę". Rzecz w tym, jak się to robi. N i e j e s t t o t y l k o s p r a w a r e ż y s e r i i. Każdy utwór, w zależności od epoki, w jakiej się go wystawia — zapala się innym światłem, a to z tej prostej przyczyny, że inne są problemy i zainteresowania epoki.* (Rozstrzelenie moje — M. B.-R.)

Kapitalnym pomysłem było przedzielenie „poważnych" rozdziałów „intermediami", pisanymi na wpół żartem, na wpół serio. Niektóre są wręcz zachwycające („Kurogo i Kurombo", „Afisz — irracjonalne jądro twórczości", „Sufler czyli o hipokryzji", „Klakierzy na etacie", „Wdech i wydech Brahmy" etc). Tu dopiero mógł wyżyć się do woli krytyk znany z ciętego dowcipu! „Klakierzy" przywodzą mi na pamięć „Woskowe manekiny" Supervielle'a.

W sumie praca Andrzeja Hausbrandta jest książką znakomitą, która powinna stać się vademecum każdego teatromana. Budzi ona głęboki szacunek dla wielkiego zjawiska społecznego, jakim jest teatr.

„... średniej wielkości plama z napisem »Polska«" [1]

Jan Lewandowski

POKAZNA już poreja literatury przynoszącej opinie cudzoziemców o nas i o naszym kraju, została wzbogacona o dwie interesujące pozycje, dające w sumie przekrój sądów o Polsce i Polakach od wieku dziesiątego aż do czasów dzisiejszych. Pewną lukę stanowią jedynie lata 1907—1969.

Pierwsza książka to dwutomowa antologia Wydawnictwa Literackiego „Cudzoziemcy o Polsce. Relacje i opinie". Prezentuje ona ponad sto wyjątków z zapisków nie-Polaków o Polsce z lat 965—1907. Książka pomyślana jest jako „rzecz do czytania" i tym też tłumaczą wydawcy bardzo oszczędny komentarz, sprowadzający się do krótkiej prezentacji autora i niezbędnych objaśnień, ale nie zawierający już sprostowania oczywistych czasem, a wcale nierzadkich pomyłek, kłamstw, czy bajek, powszechnych w tego typu literaturze.

„Polska, kraj który zadziwia" to tytuł drugiej książki, wydanej przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe, zawierającej opinie o Polsce i Polakach, opinie które napłynęły do Polskiego Radia jako rezultaty konkursów dla słuchaczy programów zagranicznych naszej radiofonii. W roku 1969 Radio Warszawa ogłosiło dla swych zagranicznych słuchaczy trzy konkursy:

1. Jaką miejscowość w Polsce chciałby Pan (Pani) poznać i dlaczego? (ok. 6,5 tys. odpowiedzi)

2. Konkurs z okazji 25-lecia Polski Ludowej (ok. 14 tys. odp.)

3. Konkurs z okazji 30 rocznicy agresji hitlerowskiej na Polskę (ok. 11 tys. odp.)

Odpowiedzi pochodziły z ponad stu krajów Europy, Azji, Afryki i obu Ameryk. Praca zawiera bardzo zwięzłe, wstępne opracowanie socjologiczne tego bogatego materiału i przynosi częściową przynajmniej odpowiedź na takie m. in. pytania, jak czas i okoliczności zetknięcia się z Polską, kto i co najlepiej charakteryzuje Polskę i jej mieszkańców, najważniejsze, zdaniem odpowiadającego, wydarzenie w najnowszych dziejach Polski, czy nasze najpoważniejsze osiągnięcia. Najbardziej interesujące są jednakże te partie książki, które zawierają wybrane wypowiedzi uczestników konkursu.

Panorama autorów, przewijających się przez karty obu książek, jest niezwykle różnorodna, od wojażujących po Europie i Polsce podróżników, kupców, żołnierzy, poprzez czerpiących wiadomości o Polsce „z drugiej ręki" filozofów francuskich XVIII w., myślicieli i działaczy politycznych XIX i XX w. (m. in.: K. Marks, F. Engels, K. Kautsky, T. Masaryk, J. Plechanow, G. B. Shaw), po współczesnych nam radiosłuchaczy, zróżnicowanych pod względem wieku, zawodu, miejsca zamieszkania, czy tradycji kulturalnych. Spotykamy wśród nich stolarza z Anglii, kolejarza z Niemieckiej Republiki Federalnej, urzędniczkę bankową z Syrii, działacza społecznego z Nigerii, uczniów ze Związku Radzieckiego i Senegalu, gospodynię domową z Danii i działacza związkowego z Belgii. Pisali ludzie zarówno entuzjastycznie do Polski nastawieni, jak i nasi przeciwnicy polityczni, wkraczający na ziemię polską przy boku najeźdźczych armii i realizujący wrogą wobec naszego kraju politykę. Ich pióra towarzyszyły chwilom wielkości Polski Piastów i Jagiellonów, victorii wiedeńskiej, mrokom saskim, tragedii rozbiorów i życia narodu pod obcymi rządami. Materiał zawarty w antologii jest tutaj bardziej zróżnicowany, wszechstronniejszy niż wypowiedzi radiosłuchaczy, a obraz Polski żywszy i pełniejszy.

Charakterystyczny jest mechanizm zdobywania wiadomości i kształtowania opinii o naszym kraju na przestrzeni dziesięciu stuleci. Wśród autorów „historycznych" przewagę mają ludzie, którzy byli w Polsce, „na własne oczy" widzieli Polskę i jej mieszkańców. Im bliżej współczesności tym więcej wypowiedzi tych, którzy nigdy w kraju nad Wisłą i Odrą nie byli, którzy nawet nie zawsze zetknęli się bezpośrednio z Polakami, czy z produktami polskiego przemysłu albo rolnictwa. Wiadomości i opinię o współczesnej Polsce w przeważającej mierze kształtują środki masowego przekazu i szkoły, a w znacznie mniejszym stopniu kontakty osobiste z Polakami albo pobyt w naszym kraju.

Jakie są te opinie, co się w nich zmienia i na ile różnią się od naszych własnych sądów o nas samych i o naszym kraju?

„Polska to dla mnie pola bitew i zrównane z ziemią miasta, ale także pola świeżych zbóż i miasta nowoczesne, to zabici i prześladowani; ale także dziewczęta o jasnych włosach i dzielni robotnicy. Polska to historia ludu w trudnym pochodzie naprzód".

(radiosłuchaczka z Belgii)

Współczesna Polska to dla cudzoziemców przede wszystkim bogactwo wytworów i przejawów kultury narodowej (muzyka, film, teatr, folklor), krajobraz, tradycje niepodległościowe i patriotyczne, przywiązanie do historii swego kraju i ochrona wartości kulturalnych.

A w przeszłości?

Miłość ojczyzny jest dla Polaków wielkim uczuciem (...) a przecież ojczyzna ta nie odznacza się szczególnie pociągającym wyglądem zewnętrznym. Pewien Francuz, który nie mógł zrozumieć tej miłości, obserwując posępną, bagnistą okolicę, tupnął nogą, aż odskoczyła bryła ziemi, i rzekł, z przekąsem potrząsając głową: „I to ci jegomoście nazywają ojczyzną?" Jednakże nie z ziemi samej, lecz z walk o niepodległość, z historycznych wspomnień i z nieszczęścia zrodziła się w Polakach ta miłość ojczyzny. Goreje ona jeszcze teraz takim samym płomieniem, jak za czasów Kościuszki, może jest nawet bardziej żarliwa. Polacy prawie do śmieszności czczą wszystko, co ojczyste.

(...) zdumiewające jest, gdy się obserwuje, jak potężny wpływ na umysły Polaków wywiera samo słowo „wolność". Płoną i goreją, gdy usłyszą, że gdziekolwiek toczą się boje o wolność. Zwracają płomienne oczy ku Grecji i Ameryce Południowej. W samej zaś Polsce (...) przez ucisk wolności rozumieją jedynie ograniczenie praw szlachty lub nawet stopniowe zrównanie stanów.

(H. Heine 1822)

Zdumienie losami Polski przewija się w wielu wypowiedziach:

Czytając historię rządu Polski, trudno zrozumieć, jak państwo tak dziwacznie urządzone mogło się tak długo utrzymać.

(J. J. Rousseau 1771)

Historia Polski jest unikatem swego rodzaju; żaden naród nie błyszczał większą świetnością i żaden nie stoczył się na dno w tak gwałtownym upadku.

(R. Cornut, publicysta francuski 1846)

A oto inny 19-wieczny portret Polaka:

W dawniejszych charakterystykach narodu polskiego często spotykamy się z sądem, że na rycerskość i osobistą odwagę Polaków można zawsze liczyć, ale że z wielkodusznością idzie u nich w parze pewna próżność, że ze szlachetnością łączy się pewna lekkomyślność, że są oni uparci, skłonni do swarów i kłótni, że własna ich wola, której jednakże zbywa na wytrwałości, jest dla nich najwyższym prawem. Powszechnym jest też mniemanie, że Polacy nie umieją gospodarzyć, że łatwo wpadają w kłopoty pieniężne, choćby nie wiem jakie mieli dochody, że przerzucają karty tysiąca książek, ale żadnej gruntownie nie przestudiują, że lubią się rozpraszać i marnują czas oraz swe talenta. Oskarżano ich także, iż zapalając się do wielkich idei wolności, umieli równocześnie być tyranami dla swoych chłopów, że będąc czułymi małżonkami, potrafią równocześnie obok ubóstwianej żony mieć jeszcze i miłostki postronne. Słowem, upatrywano w charakterze polskim mieszaninę cech świata zachodniego i Wschodu. W dawniejszym tym poglądzie było zapewne wiele słuszności i prawdy.

Gościnność jest wielka i pełna smaku. Jeden z rzadkich w ogólności przymiotów — takt, jest każdemu Polakowi wrodzony.

(J. Brandes, duński pisarz, krytyk i historyk literatury 1885)

Charakterystyka współczesnego Polaka, ta uzyskana z konkursowych odpowiedzi zawiera same dodatnie cechy. Mimo to gospodarność nie jest tą cechą, z którą najbardziej kojarzy się obcokrajowcom stereotyp Polaka...

Obok spraw tutaj podniesionych spotka czytelnik także wiele innych, z których tylko zasygnalizować można, powtarzające się niezmiennie w wypowiedziach dawnych i współczesnych, zachwyty nad urodą i wdziękiem Polek, uwagi o polskiej kuchni i o polskim obyczaju biesiadnym, a raczej pijackim, tolerancji, czy kłopotach, na jakie narażony był podróżujący po naszym kraju cudzoziemiec. Nie brak też oczywiście anegdot, jak chociażby o „Świętym Piwie z Warki", którego pomocy wzywał na łożu śmierci jeden z kardynałów włoskich.

Miłośnicy historii Lublina i Lubelszczyzny znajdą także coś dla siebie, a dodatkową satysfakcję może im sprawić znalezienie pomyłki w XVII-wiecznej relacji o Kozim Grodzie. Obok wieści o Lublinie znajdą też informacje o Zamościu i jego założycielu, a także o Puławach i rodzinie Czartoryskich.

Obie książki pozwalają zobaczyć taki wizerunek kraju między Bugiem a Odrą, który różni się nieco od naszych potocznych o Polsce i Polakach wyobrażeń. Konfrontacja tych naszych wyobrażeń z opiniami cudzoziemców, wobec lektury prezentowanych tutaj pozycji, może doprowadzić do interesujących wniosków.

1) Jest to fragment wypowiedzi studenta z Magdagaskaru, uczestnika konkursu PR: „Kiedyś, gdy oglądałem po raz pierwszy niezwykłej wielkości mapę geograficzną Europy, mój wzrok dziecka przykuła zielona, średniej wielkości plama z napisem „Polska". Od tamtej pory wykazywałem zawsze duże zainteresowanie dla historii i geografii kraju, który częściowo uważam za swój własny".

Polemiki

Na marginesie recenzji

OŚWIECONY przez Zbigniewa Hirsza jego recenzją zamieszczoną w „Kamenie" z dnia 19. VIII br, pragnę dorzucić kilka uwag na marginesie refleksji poczynionych przez recenzentów mej książki „Z lat okupacji hitlerowskiej na Lubelszczyźnie". Sądzę, że mam do tego prawo przed skokiem z Tarpejskiej Skały, na którą wpycha mnie mój lubelski preceptor.

Przede wszystkim czuję się zmartwiony całkowicie błędnym odczytaniem przez recenzenta zawartych w książce treści, co wyraziło się już w tytule recenzji „Dzieje partyzantki lubelskiej". Otóż „dziejami partyzantki" moja książka nie była ani w zamierzeniu, ani też w układzie, miała być natomiast zbiorem mej publicystyki z lat 1961—1966 poświęconej okresowi okupacji, co dość wyraźnie zaznaczyłem we wstępie. Zebrane prace — jak to w publicystyce — pisane były z różnych okazji i z różnymi celami doraźnymi, co, oczywiście, determinowało ich rozmaite formy wyraźnie zaznaczające się w książce. Jeśli je coś — poza tematyką — w książce łączy, to chyba to, że wszystkie prawie potraktowałem jako historyczne przyczynki i jedynie tak należy je odczytywać. Dlatego też nazywanie książki „dziejami partyzantki lubelskiej" jest co najmniej nieporozumieniem, a na pewno gmatwaniem czytelnikowi odbioru treści.

Bliższa prawdy była Halina Dudowa w recenzji nazwanej „Rachunki krzywd" zamieszczonej w tygodniku „Za Wolność i Lud" z dn. 21.VIII. Bądź co bądź znaczną część książki stanowi praca poświęcona hitlerowskim egzekucjom na Lubelszczyźnie. Mimo to byłbym niepocieszony, gdyby nie zwykły, bezpretensjonalny czytelnik, który pofatygował się, aby mi powiedzieć: „Dobrze, że pan tak szeroko potraktował temat. Tam każdy może się odnaleźć". A więc odczytał książkę prawidłowo, tak, jak wyznaczały ją moje intencje przyświecające mi w ciągu już niemałych lat publicystycznej pracy. Z Hirsz powinien orientować się w przeobrażeniach, jakim moja książka uległa w trakcie wydawniczej obróbki, bo kiedy w 1965 r. składałem ją w Wydawnictwie Lubelskim on właśnie prowadził redakcję społeczno-polityczną tej instytucji. Ale niezależnie od dokonanych w książce zmian, jej zasadnicze treści zostały w książce zachowane, bo jakże by mogło być inaczej, skoro te treści cechowały całą moją publicystyczną działalność. Niestety, nie dostrzegł ich zupełnie Z. Hirsz, imputując to, czym moja książka wcale być nie miała i nie jest.

Zresztą nie tylko w tym wypadku Z. Hirsz wprowadza w błąd czytelników mej książki. Pomijając fakt, że w momencie składania jej w wydawnictwie ani myślałem o publikacji pracy „Egzekucje na Lubelszczyźnie" w „Zeszytach Majdanka" z 1969 r., to nie jest ona przedrukiem, ale każde z jej wydań posiada swoją własną postać. W pełni powtarza się w nich tylko badawcza metoda i ujęcie problemu, swego czasu wysoko ocenione przez dyrektora Głównej Komisji Badań Zbrodni Hitlerowskich dr Pilichowskiego (patrz „Zeszyty Majdanka, t. III).

Parę słów na temat omyłek w szczegółach moich prac. Cóż — prawda wygląda w ten sposób, że zdarzają się one nawet w wydawnictwach encyklopedycznych opierających się na materiałach wielokrotnie sprawdzanych. Natomiast na gruncie lubelskim wszyscy razem zajmujący się wydarzeniami z lat okupacji, na czele z Komitetem Opieki na Miejscami Walki i Męczeństwa, do tej pory nie zdołaliśmy dokonać weryfikacji zebranych przekazów. W tej sytuacji od omyłek uchronić się nie sposób, o czym najlepiej powinien wiedzieć Z. Hirsz, który pod tym względem bije w swoich publikacjach wszystkie rekordy.

Mój preceptor bardzo mnie też strofuje za „ahistoryczne" potraktowanie administracyjnego podziału województwa, gdyż „w okresie okupacji nie było pow. bychawskiego, ani bełżyckiego". Dalej wyjaśnia, że „nie ma żadnych powodów do omawiania miejsc martyrologii i walki w sposób ahistoryczny..." Otóż byłem podobnego zdania w latach, kiedy Z. Hirsz publikował swą pracę o powiecie kraśnickim, w której „ahistorycznie" wyłączył jego teren z powiatu janowskiego i kiedy wydawał opracowany przez siebie tom relacji „Ja, syn ludu polskiego...", w którym m. in. zamieścił trzy znamienne szkice przedstawiające graficznie organizację i zasięg GL, PPR i konspiracyjnych rad narodowych na Lubelszczyźnie. Pomijając zawarte w tych szkicach naiwności i błędy merytoryczne, trzeba stwierdzić, że na każdym z nich figurują powstałe w 20 lat później powiaty: bełżycki, bychawski, opolski, parczewski itd. Czemu więc tak bardzo go raził „ahistoryczne" ujęcie w moich pracach? Mój adwersarz powołuje się nawet na autorytet prof. Madajczyka, który do terenów okupacyjnej Polski włączył Lwów, natomiast „nie zalicza w tym czasie Lwowa, czy Wilna do odpowiednich republik". Doprawdy nie wiem już o co Z. Hirszowi chodzi? Czy o to, aby trzymać się „historycznego" podziału terytorialnego okupanta? W takim razie trzeba by wykreślić powiaty Tomaszów, Lubartów i Łuków, które w nomenklaturze „dystryktu Lublin" nie istniały! Czy o to, że Hirsz nie zaakceptował HISTORYCZNEGO faktu włączenia Lwowa do Ukrainy, a Wilna do Litewskiej SRR? Czy jeszcze o coś innego? Granice konspiracyjnych siatek były różne, w różnych organizacjach i różnym czasie i nie ma potrzeby gmatwać tej kwestii w myśl sugestii Hirsza. Mój mentor powinien także wiedzieć, że problem ten długo budził dyskusje profesjonalistów, którzy ostatecznie orzekli rację omawiania szczegółowych spraw okupacji w odniesieniu do aktualnego podziału administracyjnego. Po to choćby, aby nie wyprać niektórych terenów z własnych tradycji, a także po to, aby nie utrudniać umiejscawiania wydarzeń. Np. kto będzie szukał wsi Szczurzki w pow. bełżyckim, jeśli będziemy uporczywie wykazywać ją w pow. puławskim, od którego oddziela je obecnie teren pow. opolskiego?

Nie wiem także, po co Hirsz polemizuje ze mną, że „W Piaskach nie Jerzy Dryłski ps. Groźny był jedyną indywidualnością organizacji „Zemsta" skoro w swej książce napisałem dosłownie: „Jednym z pierwszych konspiratorów i niewątpliwą indywidualnością był nauczyciel szkoły w Piaskach Jerzy Dryłski, ps. Groźny". „Littera docet, littera nocet". Nie wiem ponadto w imie czego recenzent polemizuje ze mną w kwestii brzmienia nazwy przysiółka Lipnik, skoro luminarze polskiego języka dawno orzekli, że o brzmieniu nazw i sposobie ich odmiany decydują formy używane przez miejscową ludność. A przecież Z. Hirsz jest zorientowany, że w tym wypadku ja liczę się jako autochton. Zaręczam, że dziesiątki razy odczytywałem tablicę z napisem: „Wieś Lipnik, dusz 27" i pamiętam, jak nazywaliśmy ten przysiółek bez względu na brzmienie jego nazwy w wojewódzkim „Dzienniku Urzędowym".

Za kilka rzeczowych sprostowań jestem recenzentowi wdzięczny. Co prawda, on sam ma pewne zasługi w powstaniu błędów, jak np. co do losów Bogdana Parzyńskiego, który w zbiorze „Ja syn ludu polskiego" wspominany jest 12 razy, ale jako Franciszek.

Oczywiste, że tego, czy owego błędu w szczegółach książki można było uniknąć. Tym bardziej, że każdy rok przynosi w dziedzinie okupacyjnej historii sporo nowego, co stwarza nowe możliwości konfrontacji faktów. Ale i ta sprawa wcale nie jest prosta w sytuacji, kiedy książkę wydaje się przez 7 lat!

Leszek Siemion

Kamena str. 8

Drzewo. Kamień. Chmura.

Carson McCullers

Przełożył Bogdan Madej

TEGO rana padało i było jeszcze bardzo ciemno. Kiedy chłopiec dotarł do kawiarni mieszczącej się w starym tramwaju i wszedł tam na filiżankę kawy, kończył prawie swój obchód. Kawiarenka była otwarta całą noc, jej właścicielem był zgorzkniały i uszczypliwy mężczyzna imieniem Leo. Po nieprzytulnej, pustej ulicy, kawiarenka zdawała się przyjazna i jasna: przy kontuarze stało paru żołnierzy i trzech robotników z przędzalni bawełny, a w rogu, z nosem i połową twarzy w kuflu piwa, siedział przygarbiony mężczyzna. Chłopiec miał na głowie pilotkę. Wchodząc do kawiarenki odpiął pasek pod brodą i uniósł nad małym różowym uchem prawą klapkę; często, kiedy pił kawę, ktoś się do niego przyjaźnie odzywał. Ale tego poranka Leo nie spojrzał na jego twarz. Nikt z mężczyzn nie rozmawiał. Zapłacił i opuszczał już kawiarenkę, kiedy zawołał na niego jakiś głos:

— Synu! Hej, synu!

Obrócił się. Siedzący w rogu mężczyzna kiwał na niego zgiętym palcem. Wychynął twarzą z kufla piwa i wydał się nagle szczęśliwy. Mężczyzna był długi i blady, o dużym nosie i wyblakłych, pomarańczowych włosach.

— Hej, synu!

Chłopiec zbliżył się do niego. Był niewyrośnięty, miał jakieś dwanaście lat i od noszenia torby z gazetami jedno ramię wyższe od drugiego. Jego twarz była płaska, upstrzona piegami, miał okrągłe dziecinne oczy.

— Tak słucham, proszę pana?

Mężczyzna położył rękę na ramieniu gazeciarza, potem schwycił podbródek chłopca i powoli obrócił ku sobie jego twarz. Chłopiec cofnął się niezgrabnie.

— Słucham, o co idzie?

Głos chłopca był ostry. W kawiarni nagle zrobiło się cicho. Mężczyzna powiedział powoli:

— Kocham cię.

Wszyscy mężczyźni przy kontuarze roześmieli się. Chłopiec skrzywił się i odsunął, nie wiedział, co zrobić. Spojrzał ponad kontuarem na Leo, który obserwował go ze znużoną drwiną. Chłopiec też spróbował się roześmiać, ale mężczyzna był poważny i smutny.

— Synu, nie chciałem ci dokuczyć — powiedział. — Siądź i napij się ze mną piwa. Muszę ci coś wytłumaczyć.

Gazeciarz podejrzliwie, kątem oka, żeby wiedzieć, jak powinien się zachować, spojrzał badawczo na mężczyzn siedzących wzdłuż kontuaru, ale tamci wrócili do swojego piwa, jedli śniadanie i nie zwracali na niego uwagi. Leo postawił na kontuarze filiżankę kawy i mały dzbanuszek ze śmietaną.

— On jest małoletni — powiedział.

Gazeciarz wśliznął się na taboret. Jego uszy pod uniesionymi klapkami pilotki były czerwone i bardzo małe. Mężczyzna skinął na niego.

— To jest ważne — powiedział.

Włożył potem rękę do tylnej kieszeni i wyciągnął coś, trzymając to w dłoni w ten sposób, żeby chłopiec mógł zobaczyć.

— Patrz bardzo uważnie — powiedział.

Chłopiec spojrzał, ale nie było tam nic, na co trzeba było patrzeć bardzo uważnie. Mężczyzna trzymał w swojej wielkiej brudnej dłoni fotografię. Widniała na niej twarz kobiety, ale tak zamazana, że wyraźnie widać było tylko kapelusz i sukienkę, którą miała na sobie.

— Widzisz? — spytał mężczyzna.

Chłopiec przytaknął, mężczyzna włożył w dłoń drugą fotografię. Na plaży stała kobieta w kostiumie kąpielowym. Strój wyolbrzymiał jej brzuch, który był główną rzeczą, jaką można było zauważyć.

— Przyjrzałeś się dobrze? — Mężczyzna pochylił się nad nim bardziej i w końcu spytał: — Widziałeś ją kiedy?

Chłopiec siedział bez ruchu, patrząc chytrze na mężczyznę.

— W każdym razie nie tak, żebym mógł ją zapamiętać.

— Świetnie.

Mężczyzna chuchnął na fotografie i włożył je na powrót do kieszeni.

— To była moja żona.

— Umarła? — spytał chłopiec.

Mężczyzna powoli potrząsnął głową. Złożył wargi niczym do gwizdu i odpowiedział przeciągle:

— Nooo — odparł. — Wytłumaczę ci.

Na kontuarze przed mężczyzną stało piwo w wielkim brązowym kuflu. Nie uniósł go, żeby się napić, lecz pochylił się nad nim oparł na jego krawędzi twarz i spoczywał przez moment w tej pozycji, a potem obiema dłońmi przechylił kufel i pociągnął z niego.

— Którejś nocy uśniesz nad kuflem z tym twoim wielkim nosem i utopisz się — powiedział Leo. — Wybitny facet topi się w piwie. Ładna by była śmierć.

Gazeciarz spróbował dać znak w stronę Leo. Kiedy mężczyzna nie patrzył, odwrócił głowę i spytał bezdźwięcznie:

— Zalany?

Ale Leo uniósł tylko brwi i odwrócił się, żeby położyć na ruszcie kilka różowych plastrów bekonu. Mężczyzna odepchnął od siebie kufel, wyprostował się i położył na kontuarze zgięte luźno ręce. Jego patrząca na gazeciarza warz była smutna. Nie mrugał, ale powieki od czasu do czasu z delikatną ociężałości przymykały się nad bladymi, zielonymi oczami. Zbliżał się świt i chłopiec przesunął a ramieniu ciężar torby z gazetami.

— Mów o miłości — powiedział mężczyzna. — Ja mnie jest ona dyscypliną naukową.

Chłopiec ześliznął się na wpół z taboretu, ale mężczyzna uniósł wskazujący palec: było w tym ruchu coś, co chłopca powstrzymało i nie pozwoliło mu odejść.

— Ożeniłem się z tą kobietą ze zdjęcia przed dwunastu laty. Była moją żoną jeden rok, dziewięć miesięcy, trzy dni i dwie noce. Kochałem ją. Tak...

Opanował niewyraźny, roztrzęsiony głos i powiedział znowu:

— Kochałem ją. Myślałem też, że i ona mnie kochała. Byłem inżynierem na kolei. Miała w domu wszystkie wygody, luksus Nigdy mi do głowy nie zakradła się myśl, że mogłaby być niezadowolona. I wiesz, co się stało?

— Koszałki-opałki — powiedział Leo.

Mężczyzna nie spuszczał wzroku z twarzy chłopca.

— Rzuciła mnie. Przyszedłem pewnego wieczoru, dom był pusty, nie było jej.

— Z facetem? — spytał chłopiec.

Mężczyzna złożył łagodnie dłoń na kontuarze.

— Naturalnie, synu. Kobieta nie odchodzi sama.

W kawiarence było cicho, na zewnątrz, na ulicy, padał miękki, czarny, nie kończący się deszcz. Leo zębami długiego widelca przycisnął pieniący się na ruszcie bekon.

— Tak więc jedenaście lat polowałeś na lafiryndę. Ty obszarpany, stary łobuzie!

Mężczyzna pierwszy raz zerknął na Leo.

— Niech pan nie będzie wulgarny. Mówiłem poza tym nie do pana.

Obrócił się znów do chłopca i powiedział ufnym, konfidencjonalnym półgłosem:

— Nie zwracajmy na niego uwagi. Dobrze?

Chłopiec z powątpiewaniem skinął głową.

— To było tak — ciągnął mężczyzna. — Jestem człowiekiem, który odczuwa wiele rzeczy. Przez całe moje życie wywierała na mnie wrażenie jedna rzecz po drugiej. Światło księżyca. Noga ślicznej dziewczyny. Jedna rzecz po drugiej. Idzie o to, że czymkolwiek się cieszyłem, odnosiłem takie wrażenie, jakby to wszystko obijało się luźno we mnie. Nic samo z siebie nie wydawało się dokończone, albo nic do niczego nie pasowało. Kobiety? Miałem ich swoją porcję. To samo. Później obijało się luźno we mnie. Byłem człowiekiem, który nigdy nie kochał.

Przymknął powieki, ruch był podobny do ruchu kurtyny opadającej po zakończonej scenie. Kiedy odezwał się znowu, jego głos był podniecony i słowa wydostawały się prędko — wydawało się, że drżą konchy jego wielkich uszu.

— Spotkałem później tę kobietę. Miałem pięćdziesiąt jeden lat, a ona zawsze mówiła, że ma trzydzieści. Poznałem ją na stacji benzynowej i po trzech dniach byliśmy małżeństwem. Wiesz, do czego było to podobne? Po prostu nie potrafię ci tego opowiedzieć. Wszystko, co kiedykolwiek odczuwałem, obracało się wokół tej kobiety. Nic już nie obijało się luźno we mnie, ale dzięki niej zostało dokończone.

Mężczyzna przestał nagle mówić i pociągnął się za swój długi nos. Jego głos opadł do pewnego i pełnego wyrzutu półgłosu:

— Nie tłumaczę ci tego należycie. Zdarzyło się to tak. Te piękne uczucia i luźne, małe przyjemności, znajdowały się we mnie. Ta kobieta była podobna do taśmy montażowej mojej duszy. Przeciągałem przez nią te moje małe okruchy i wychodziłem stamtąd kompletny. Rozumiesz mnie teraz?

— Jak ona się nazywała? — spytał chłopiec.

— Och — powiedział. — Nazywałem ją Dodo. Ale to jest niematerialne.

— Próbował pan coś zrobić, żeby wróciła?

Mężczyzna zdawał się nie słyszeć.

— Możesz sobie wyobrazić w tej sytuacji, jak się czułem, kiedy mnie rzuciła.

Leo zdjął bekon z rusztu i włożył dwa plasterki w drożdżową bułkę. Twarz miał szarą, oczy w wąskiej zapadlinie powiek, zagięty, osiodłany przez bladoniebieskie cienie nos. Jeden z robotników z przędzalni zażądał jeszcze kawy. Leo mu nalał. Nigdy nie dolewał kawy za darmo. Robotnik jadł tu śniadanie co dzień, lecz im lepiej Leo poznawał swoich klientów, tym uszczypliwiej ich traktował. Skubał swoją bułkę drożdżową, jakby żałował jej sobie.

— I nigdy już jej pan nie spotkał?

Chłopiec nie wiedział, co myśleć o mężczyźnie, jego dziecięca twarz była niepewna, ciekawość i powątpiewanie mieszały się ze sobą. Był nowicjuszem w roznoszeniu gazet i nadal rzeczą dziwną wydawało mu się tak chodzić sobie po mieście w czarny, mętny, wczesny poranek.

— Tak. — powiedział mężczyzna. — Podejmowałem wiele starań, żeby dowiedzieć się, gdzie mieszka. Jeździłem do Tulsy, gdzie miała krewnych. Jeździłem do każdego miasta, o którym mi kiedykolwiek napomknęła, polowałem na każdego człowieka, z którym się kiedykolwiek zetknęła. Tulsa, Atlanta, Chicago, Cheehaw, Memphis. Przez większą część dwóch lat polowałem po całym kraju i próbowałem ją przyłapać.

— Ale parka zmyła się z oblicza ziemi — powiedział Leo.

— Nie słuchaj go — rzekł konfidencjonalnie mężczyzna. — Zapomnij też o tamtych dwóch latach. Nie one są ważne. Liczy się to, że w trzecim roku zaczęła mi się przydarzać dziwna rzecz.

— Co takiego? — spytał chłopiec.

Mężczyzna pochylił się, żeby pociągnąć łyk piwa, przechylił kufel, jego nozdrza zadrżały nieznacznie, powąchał zwietrzałe piwo i nie napił się.

— Przede wszystkim, miłość jest dziwną rzeczą. Myślałem najpierw tylko o tym, żeby mieć ją z powrotem. Było to czymś w rodzaju manii. Ale później, kiedy upłynęło trochę czasu i próbowałem przypomnieć ją sobie, wiesz, co się stało?

— Nie — odparł chłopiec.

— Kiedy się położyłem na łóżku i próbowałem myśleć o niej, moja pamięć stawała się pusta. Nie potrafiłem jej widzieć. Wyciągałem jej zdjęcie i patrzyłem. Nic z tego. Nie pomagało. Pusta. Potrafisz to sobie wyobrazić?

— Powiedz, Mack! — krzyknął Leo wzdłuż kontuaru. — Potrafisz wyobrazić sobie faceta z pustą pamięcią?

Mężczyzna ruszył wolno ręką, jakby odpędzał muchy. Jego zielone oczy były skoncentrowane, skupione na płaskiej twarzy gazeciarza.

— I nagle kawałek szkła na chodniku. Albo z grającej szafy melodia za parę centów. W nocy cień na ścianie. I przypominałem sobie. Trafiało mi się to na ulicy, rozpłakiwałem się i tłukłem głową o latarnię. Podążasz za mną?

— Kawałek szkła... — powiedział chłopiec.

— Wszystko. Chodziłem wszędzie nie mając wpływu na to, w jaki sposób i kiedy ją sobie przypomnę. Myślisz, że można się czymś zasłonić, ale wspomnienie nie uderza w człowieka wprost, osacza go ze wszystkich stron. Byłem zdany na łaskę wszystkiego, com widział i słyszał. Zamiast ja przeczesywać okolice, żeby ją odnaleźć, nagle ona zaczęła na mnie polować we mnie samym. Ona na mnie polowała. Rozumiesz? W mojej duszy!

Chłopiec w końcu spytał:

— W jakich stronach mieszkał pan wtedy?

— Och — stęknął mężczyzna. — Byłem śmiertelnie chory. To było jak ospa, Synu, przyznam ci się, że chlałem. Łajdaczyłem się. Popełniłem każdy grzech, jaki mnie nagle pociągnął. Zwierzam się z tego niechętnie, ale muszę to robić. Kiedy przypominam sobie tamten okres, wszystko ścina się we mnie, takie to było okropne.

Mężczyzna pochylił głowę i stuknął czołem w kontuar. Przez kilka sekund pozostawał w tej pozycji, żylasty kark nakrywała pomarańczowa mierzwa, ręce z długimi pokrzywionymi paznokciami leżały złączone w modlitewnej pozie. Potem mężczyzna wyprostował się. Uśmiechnął się i nagle jego drżąca i stara twarz rozpromieniła się.

— Zdarzyło się to w piątym roku. — powiedział. — I to był początek mojej wiedzy.

Usta Leo drgnęły kurczowo w bladym, prędkim uśmiechu.

—W porządku, chłopcy, żaden z nas nie robi się coraz młodszy.

Potem w nagłym gniewie zwinął trzymaną w ręce ścierkę i rzucił nią mocno o podłogę.

— Ty stary, obdarty Romeo!

— Co się zdarzyło? — spytał chłopiec.

Głos starego mężczyzny był czysty i wysoki.

— Spokój — powiedział.

— Co?

— Synu, trudno to naukowo wytłumaczyć. — powiedział. — Wydaje mi się, że logiczne wytłumaczenie jest takie: ona i ja uciekliśmy od siebie na tak długo i w końcu tak się razem uwikłaliśmy, że musieliśmy dać sobie spokój i skończyć z tym. Dziwna i piękna pustka. W Portland była wiosna i każdego popołudnia padał deszcz. Przez wszystkie wieczory leżałem w ciemności na łóżku. W ten sposób zaczęła się moja wiedza.

Okna w tramwaju były bladoniebieskie od światła. Dwaj żołnierze zapłacili za piwo i otworzyli drzwi — jeden z nich, nim wyszli na ulicę, zaczesał włosy i oczyścił zabłocone spinacze. Trzej robotnicy z przędzalni w milczeniu pochylali się nad śniadaniem. Na ścianie tykał zegarek Leo.

— Tak to jest. Słuchaj uważnie. Medytowałem nad miłością i przemyślałem ją. Zdałem sobie sprawę, dlaczego jest z nami niedobrze. Mężczyźni kochają pierwszy raz. I kogo kochają!

Miękkie usta chłopca były w połowie otwarte; nie odpowiedział.

— Kobietę — rzekł stary człowiek. — Bez wiedzy, bez niczego, czym można się kierować, podejmują najbardziej niebezpieczne i najświętsze przeżycie na bożym świecie. Czy to, synu, jest w porządku?

— Tak — powiedział słabo chłopiec.

— Rozpoczynają miłość od niewłaściwej strony. Zaczynają od szczytu. Czy można się dziwić, że to jest takie żałosne? Wiesz, jak mężczyzna powinien kochać?

Stary mężczyzna wyciągnął rękę i chwycił chłopca za kołnierz skórzanej kurtki. Potrząsnął nim lekko, łagodnie, jego zielone oczy spojrzały w dół bez mrugania.

— Synu, wiesz, jak powinno się zaczynać miłość?

Chłopiec siedział mały, spokojny i wsłuchany. Potrząsnął wolno głową. Stary człowiek pochylił się niżej i szepnął:

— Drzewo, Kamień. Chmura.

Na zewnątrz, na ulicy, ciągle padało; słaby, szary, nie kończący się deszcz. Syrena przędzalni zagwizdała na rozpoczynającą się o szóstej zmianę, trzej robotnicy zapłacili i wyszli. W kawiarence nie było nikogo oprócz Leo, starego mężczyzny i małego gazeciarza.

— Pogoda w Portland była taka jak teraz — powiedział. — W tym czasie zaczęła się moja wiedza. Medytowałem, zaczynałem bardzo ostrożnie. Znajdowałem coś na ulicy i przynosiłem ze sobą do domu. Kupiłem złotą rybkę, koncentrowałem się na niej, kochałem ją. Tak przechodziłem stopniowo od jednej rzeczy do drugiej. Dzień po dniu przyswajałem sobie tę technikę. W drodze z Portland do San Diego...

— Och, zamknij się! — krzyknął nagle Leo. — Zamknij się! Zamknij!

Stary człowiek trzymał ciągle chłopca za kołnierz kurtki; trząsł się, jego twarz była poważna, rozpromieniona i dzika.

— Od sześciu lat sam daję sobie radę, wzniosłem całą swoją wiedzę. I teraz, synu, jestem mistrzem. Potrafię kochać wszystko. Nie muszę już nawet o tym myśleć. Widzę ulicę pełną ludzi i wstępuję we mnie cudowna jasność. Obserwuję ptaka na niebie. Albo spotykam w drodze podróżnego. Wszystko, synu. I wszystkich. Wszyscy obcy i wszyscy kochani! Zdajesz sobie sprawę, co może oznaczać wiedza podobna do mojej?

Chłopiec trzymał się sztywno, jego dłonie zacisnęły się mocno na brzegu kontuaru. W końcu spytał:

— Czy naprawdę odnalazł pan kiedykolwiek tę kobietę?

— Co? Co, synu, mówisz?

— Mam na myśli to — spytał chłopiec nieśmiało — czy zakochał się pan drugi raz w jakiejś kobiecie?

Stary mężczyzna rozluźnił uchwyt na ramieniu chłopca, w jego zielonych oczach pierwszy raz pojawiło się nieokreślone, rozproszone spojrzenie. Uniósł kufel nad kontuarem i łyknął żółtego piwa. Potrząsnął powoli głową w obie strony i odpowiedział wreszcie:

— Nie, synu. Widzisz, to jest ostatni stopień mojej wiedzy. Jestem ostrożny. Nie jestem jeszcze całkowicie gotów.

— Dobrze! — powiedział Leo. — Dobrze, dobrze, dobrze!

Stary mężczyzna przystanął w otwartych drzwiach.

— Pamiętaj — powiedział.

Obramowany jasnym wilgotnym światłem wczesnego poranka widniał tam skulony, chory i wątły, ale jego uśmiech był promienny.

— Pamiętaj, kocham cię! — powiedział skinąwszy głową ostatni raz.

Drzwi zamknęły się za nim cicho.

Chłopiec długo się nie odzywał. Pociągnął grzywkę na czole i małym brudnym wskazującym palcem wodził dokoła brzegu pustej filiżanki. Później spytał nie patrząc na Leo:

— Zalany był?

— Nie — odparł krótko Leo.

Czysty głos chłopca wzniósł się.

— Narkoman w takim razie?

— Nie.

Chłopiec spojrzał na Leo; jego mała płaska twarz była zdesperowana, głos natarczywy i gwałtowny.

— Wariat? Myślisz, że lunatyk?

Głos gazeciarza opadł w powątpiewaniu.

— Leo, tak czy nie?

Ale Leo nie odpowiedział. Prowadził nocną kawiarenkę od czternastu lat i tylko sobie pozwalał na krytykę obłędu. Przychodzili tu ludzie miejscowi i przyjezdni także, którzy włóczyli się co noc. Znał manię każdego. Nie miał chęci odpowiadać na pytania czekającego dzieciaka. Zacisnął blade usta i milczał. Chłopiec opuścił zatem prawą klapkę pilotki i zwracając się w stronę drzwi pozwolił sobie na jedyny komentarz, jaki wydawał mu się bezpieczny, jedyną uwagę, którą nikt nie mógł wzgardzić albo wyśmiać:

— Na pewno dużo podróżował.

Kamena str. 9

okolice sztuki

Intymność obok elegancji

PRZYJECHAŁEM do Warszawy kilka godzin przed wernisażem wystawy grafiki Zofii Kopel-Szluc, kiedy kierowana przez Możejkę „Kordegarda" była jeszcze zamknięta. Spojrzałem zatem przez wielkie okna tej najlepiej w stolicy zlokalizowanej galerii sztuki, pomacałem wzrokiem czerniejące na ścianach plansze, po czym popadłem w rozterkę: czy aby dobrze trafiłem, czy rzeczywiście 1 września o godzinie 19 w tym właśnie miejscu ?

Dość dawno nie widziałem prac lubelskiej graficzki, a te, które pokazała w warszawskiej galerii, zdawały się być dziełem kogoś ledwo mi znajomego, choć z drugiej strony coś bardzo znajomego przypominały, może jakieś grafiki z międzynarodowego biennale w Krakowie... Tyle teraz różnych wystaw, że to i owo może się pomieszać. Tym bardziej, że rozmaitość stylistyczna współczesnej grafiki ujawnia się niuansami zaledwie w obrębie dwóch głównych nurtów, z których jeden ku ekspresji figuralnej zmierza — popatrzmy choćby na tzw. szkołę krakowską, szturmującą pod sztandarami M. Wejmana — drugi zaś przywłaszcza na własny użytek rozwiązania grafiki reklamowej, plakatu etc., płaskim znakiem działając, zwięzłym skrótem odwołując się do wyobraźni, zniewalanej na co dzień do posłuszeństwa przez środki masowego przekazu. Zatem miałem prawo do owej rozterki.

Najnowsze prace Zofii Kopel-Szulc trudno przypisać zdecydowanie i wyłącznie do jednego z tych nurtów. Nie jest to w końcu sprawa tak ważna, żeby dłużej nad nią ślęczeć. Warto przecież w tym właśnie miejscu przypomnieć nie tak dawne czasy, kiedy to autorka lubiła sobie popracować na planszy dla dobra walorowych, fakturalnie zamożnych kompozycji, które demonstrowały jej niechęć do operowania szerokimi i jednolitymi w tonie płaszczyznami — jakby takie rozwiązania, dziś niemal kanoniczne, były wówczas niegodne uczennicy krakowskiego liryka litografii, Konrada Srzednickiego. Ponadto w tamtych pracach przeważała g r a f i k a, obecnie skłaniają się do p o e z j i. To rozróżnienie nie straci sensu także wówczas,

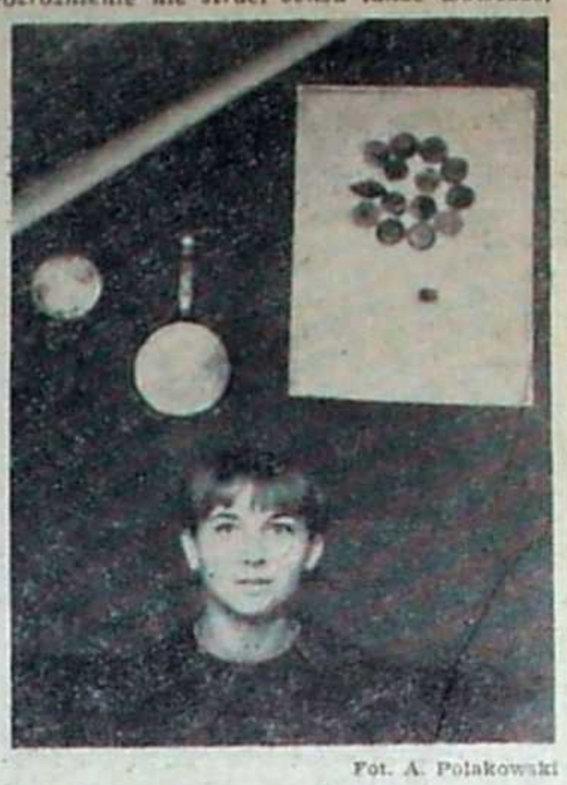

Fot. A. Polakowski

kiedy napiszę, że autorka i wtedy próbowała powiedzieć coś w swej twórczości, że próbowała wyrażać swoje opinie o jakimś fakcie czy fragmencie rzeczywistości, posługując się poetycką metaforą. Była to jednak metafora czytelna na tyle, że widz rychło przechodził nad nią do porządku rzeczy, koncentrując swoją uwagę na ciekawych grach formalno-warsztatowych. Rysunki i litografie 1970 i 1971 na ogół nie pozwalają na taką podzielność uwagi, są formalno-ideową jednością. Tak i Zofia Kopel-Szulc może już machnąć ręką na recenzenckie dąsy i pouczenia.

A przecież, przez moment tylko, bo dostrzegam w wielu pracach wartości znacznej próby, mam ochotę podąsać się na autorkę nastrojowych światków graficznych — za ich kokietliwą elegancję. Niektóre rysunki: zanurzone w czerni jasne plamy twarzy; stłoczone i wiotkie akty zmierzające do puszystej i anonimowej czerni — jakie to wszystko eleganckie, secesyjnie wyrafinowane! Ktoś uzna to za wartość, za zaletę, przejaw manier najlepszych, w moich zaś oczach te okrutnie dobrze ułożone prace otwierają szczelinami wnętrza, w których niewiele uważnego czy interesującego dostrzegam.

Ostatecznie przecież twórczość ta — jej część najlepsza — intryguje, przede wszystkim za sprawą specyficznego i zagęszczonego klimatu emocjonalnego, który towarzyszy rysunkom i litografiom. Prace te mają zdolność sterowania odbiorczą wrażliwością, uruchamiają te pokłady ludzkiej psychiki, które graniczą z podświadomością. Są swoistym, graficznym unaocznieniem nastrojów i sytuacji psychicznych, nie poddających się pojęciowej obiektywizacji. Mimochodem potwierdzają nieograniczone możliwości plastyki jako drogi poznania pozaracjonalnego.

Na szerokich płaszczyznach papieru Zofia Kopel-Szulc sugestywnie zapisała własne przeczucia treści spraw tak osobistych, że aż intymnych, niezależnych od społecznej sytuacji człowieka. Ten zapis poprowadziła na napiętej linii erotyzmu — czysto, tak czasami sterylnie czysto, że w kilku wypadkach zdaje się on tracić swój sens kierunkowy i głębszy. Bo też w tak pogmatwanych rejonach ludzkiej psychiki nietrudno

Fot. J. Urbanowicz

się zgubić podczas próby ich artystycznej penetracji: za dużo tu złudnych drogowskazów, ścieżek fałszywych, skutecznie kryjących prawdziwe dojścia. Powiedziano już przecież, że wystarczy jeden wartościowy obraz wśród wielu słabszych, aby uznać zwycięstwo artysty. A takich, wartościowych dzieł widziałem w „Kordegardzie" sporo.

Zofia Kopel-Szulc uczestniczyła niedawno w reprezentacyjnej wystawie polskiej grafiki współczesnej w Bibliotece Narodowej w Paryżu, odbywającej się pod protektoratem rządów Polski i Francji. Otrzymała także szereg zaproszeń ze strony galerii zachodnioeuropejskich.

IJK

Przed Olimpiadą - dwugłos o sporcie

No to co jak przegramy?

PO MISTRZOSTWACH lekkoatletycznych Europy w Helsinkach wielkie larum rozległo się w Polsce. Zajęliśmy gorsze miejsce, niż było nas stać. Posypały się gorzkie słowa pod adresem zawodników. Niektórzy lekkoatleci złożyli samokrytykę, bijąc się w piersi za winy nie popełnione, bo przecież żaden nie zalał sobie pały w przeddzień imprezy i potem biegł na kacu, żaden nie zrobił skoku w bok, żaden nie lenił się na starcie. W każdym razie żadnemu nic takiego nie zarzucono. Pretensje były o to, że nie wygrali. Panowie, jak można mieć takie pretensje! Startuje 20, a zwycięża jeden. Pretensje były o to, że wypadli poniżej możliwości naszego kraju. (Nawet w „Kamenie" napuszczano mnie, bym się tym zajął). Proszę mi więc odpowiedzieć, jakie są możliwości naszego kraju w międzynarodowej konfrontacji lekkoatletycznej i na jakiej zasadzie się je oblicza?

Zbliża się Olimpiada 1972 w Monachium. W Polsce mówi się o niej spóro. Musimy pokazać się na Olimpiadzie z jak najlepszej strony, musimy zająć miejsce odpowiadające wielkości i roli naszego kraju w świecie. Nasz start na Olimpiadzie to sprawa prestiżowa, polityczna, państwowa! Takie głosy podnoszą się w światku działaczy sportu wyczynowego. Tymi głosami straszy się kraj, szantażuje go. Kto ośmieli się walnąć pięścią w stół i domagać przesunięcia większych sum na sport masowy, na budowę małych boisk, sal do gimnastyki, kosza i siatki oraz basenów kąpielowych, gdy wiadomo, że nie wolno nam skąpić grosza na przygotowanie ekipy do Monachium?

Olimpiada nie jest proszę państwa sprawą polityczną, prestiżową. A jeśli nawet jest, to w bardzo małym wymiarze. Była nią dla Polski w pierwszych latach powojennych. To niewątpliwe. Świat w zdumieniu patrzył, jak reprezentanci wyniszczonego materialnie i biologicznie narodu potrafili nawiązywać rywalizację sportową z młodzieżą krajów zamożnych, które nie ucierpiały wskutek wojny, lub ucierpiały niewiele. Obecnie na Olimpiadzie startować będą ludzie urodzeni głównie po wojnie, wychowani w warunkach pokoju (przynajmniej w większości krajów rozwiniętych) i wzrastającego dobrobytu. Wyniki Olimpiady mogą mieć prestiżowe znaczenie dla Wietnamczyków, Egipcjan, dla reprezentacji państw, które niedawno wyzwoliły się z niewoli kolonialnej. Ale dla nas? Zapewne uzyskamy w sumie lepsze rezultaty niż reprezentacje Indii, Chin Ludowych (jeśli przyjedzie), Indonezji. Czy to oznacza, iż jesteśmy od nich liczebniejsi ludnościowo, czy więksi terytorialnie? Zapewne wyprzedzimy Kanadę, Szwecję, Szwajcarię, Belgię, Australię, Holandię (rzucam przypadkowo). Czy to oznacza, że stopa życiowa w Polsce jest wyższa, baza sportowa lepiej rozwinięta, możliwości uprawiania sportu przez przeciętnego obywatela większe?

Wyniki sportowe nie odzwierciedlają poziomu i potencjału żadnego kraju, a jeśli któryś z potentatów przoduje i w sporcie wyczynowym, to przypadek. Mała NRD może wyprzedzić w lekkoatletyce większą od siebie NRF, może wyprzedzić też ZSRR, z którym porównania żadnego nie ma, lecz czyż to o czymkolwiek, poza sportem świadczy? Rewelacyjne wyniki biegaczy z Kenii wcale nie świadczą o czołowej roli tego państwa nawet na kontynencie afrykańskim. Polscy bokserzy pokonali amatorską reprezentację USA; z szeregów tejże reprezentacji zapewne wyrośnie niejeden bokser zawodowy wysokiej klasy, a jak wiadomo, boks zawodowy jest niewspółmiernie bardziej wymagający od amatorskiego. Jeszcze raz powtarzam: wyniki sportowe świadczą tylko o sobie, o niczym więcej. Można, przy odpowiednio dostosowanej bazie i trenerach, wyszkolić znakomitych wyczynowców w kraju o bardzo niskim poziomie usportowienia, można też, przy przeciętnej wysokiej, nie mieć dobrej czołówki. Wyniki reprezentacji nie świadczą również o poziomie zdrowotnym młodzieży danego kraju, bo dziś sport najwyższych kwalifikacji nie oznacza wcale zdrowia, oznacza natomiast często nadmierne obciążenie organizmu. I nie czarujmy się walorami propagandowymi: wśród naszych rodaków za granicą mogły być znane nazwiska Zasady, Badeńskiego, Kirszensztajn czy sukcesy Górnika Zabrze, lecz nie dla tych względów Polonia odwiedza co roku liczniej kraj.

Sport wyczynowy ma swoje niezwykłe walory widowiskowe, wychowawcze, zapewne też i propagandowe; pod warunkiem wszakże, iż jest eksponowany właściwie: bez histerii, bez szowinizmu, bez przekładania go nad wszystko inne.

Sport powinien być platformą do spotykania się młodzieży z różnych krajów. Przyjacielskiego spotkania, nawet jeśli kraje te nie są oficjalnie związane przyjaźnią. Sport powinien dawać okazję do spotkania się tym, którzy w dzisiejszym, skomplikowanym świecie innej okazji być może aktualnie nie mają. Intencje twórcy nowoczesnych olimpiad Pietra de Coubertin nie zwietrzały do dziś. W krajach socjalistycznych, które hasła o pokoju i przyjaźni między narodami umieściły na swych sztandarach, idee te nabrały nowego blasku.

Nie jest więc rzeczą najważniejszą, które miejsce zajmiemy w Monachium. Ważne, by nasi reprezentanci walczyli dzielnie, z honorem, by umieli oklaskiwać swoich zwycięzców i wyrazić uznanie pokonanym.

Istotne jest też, by sukcesy naszej reprezentacji w Monachium i gdzie indziej nie były osiągane kosztem zaniedbań rozwoju powszechnej kultury fizycznej w miastach, miasteczkach i na wsiach. Ta ostatnia powinna być bowiem najważniejsza — a niestety martwię się, że nie jest.

RW

Duch Grecji na dalekim planie

OSTATNIE wydarzenia sportowe — mistrzostwa Europy w lekkiej atletyce, mecz bokserski z USA, trójmecz lekkoatletyczny ZSRR — NRD — Polska — w kontekście zaczętego się roku szkolnego nastręczają sposobność do refleksji na temat wychowawczej roli sportu. Już sama możliwość snucia owych refleksji jest oznaką czasu dzisiejszego, ponieważ dawniej sprawa nie pozostawiała miejsca dla mnogości punktów widzenia. Sport — bez żadnych kontrowersji — był elementem wychowania młodzieży, co najwyżej tej jego roli dorabiało się czcigodną przeszłość historyczną sięgając analogiami do antycznego wzoru człowieka harmonijnie łączącego tężyznę fizyczną z zaletami ducha i umysłu. Klasycznym, a jakże pasującym do tematu był tu przykład samego Platona, który podobno zwyciężył w którejś z olimpiad (o czym jest mowa w podręcznikach historii filozofii, natomiast cicho w opracowaniach monograficznych dotyczących przedmiotu samych igrzysk).

Jak jest dzisiaj? Wydawałoby się, że pytanie nie ma uzasadnienia, że ta cecha sportu, która określała jego walor w okresie długich spodenek i pończoch na podwiązkach występujących jako element stroju zawodnika nie tylko dziś nie zanikła, ale uległa spotęgowaniu w epoce tartanu, elastycznej tyczki i heldowskiego oszczepu. I w gruncie rzeczy taka opinia posiada swoich przedstawicieli. Interesujący causeur sportowy — Bogdan Tomaszewski właściwie nie czyni nic innego, jak tylko ewokuje szlachetne elementy humanistyczne sportu w wydaniu tym bliższym sercu, że co nieco już anachronicznym, co widać choćby na przykładzie jego zainteresowania dla starych mistrzów. Dalej mówi się, że sport wychowuje, że powinien być energiczniej wzięty pod uwagę jako czynnik kształcenia młodzieży, że szkoda, jeśli młodę pokolenie nie korzysta z boisk, bieżni, pływalni, gdzie znalazłoby odtrutkę na inwazję nastrojów bałaganiarskich, czy kontestacyjnych.

Wydaje się jednak, że opinie podobne działają na zasadzie rozpędu, natomiast nie są dostosowane do sportu w jego dzisiejszej postaci, która nasuwa analogie bardziej z posuniętą do granic wytrzymałości specjalistyczną tresurą ciała, aniżeli z zajęciem mającym swe miejsce w programie humanistycznym. Kiedyś rekord — bo sportu nie należy utożsamiać z szeroko pojętym wychowaniem fizycznym, dla którego reprezentacyjnym zajęciem są „gry i zabawy na świeżym powietrzu" — był czymś w rodzaju dopingu, spełniał rolę magnesu przyciągającego wysiłek i wolę, mimo całej swej odległości znajdował się w planie młodego zawodnika rozpoczynającego start w obranej dziedzinie pracy mięśni. Nie spełnia takiej roli dzisiaj. Rekordy wszystkie tak daleko pobiegły naprzód, że wyszły po prostu z obszaru normalnej reakcji, jak skok Beamona, który przekroczył pojemność apartury pomiarowej i musiał być zmierzony poczciwie konwencjonalnym sposobem przy użyciu taśmy. Rekord dziś nie dopinguje. Rekord obezwładnia. Nie wyobrażam sobie młodego zawodnika osiągającego całkiem przyzwoite wyniki np. w skoku wzwyż w okolicy jakichś 190 cm, który się nie czuje zaszokowany faktem, że Pat Matzdorf o jeszcze jeden centymetr w górę podrzucił — zdawałoby się — nietykalny rekord Walerego Brumela wynoszący 228 cm. Ile brakuje naszemu młodemu zawodnikowi? Błahostka — prawie 40 cm. Trudno to uznać za element dopingu.

Poza tym sport dziś jest czymś w rodzaju przemysłu. W tym znaczeniu, w jakim się mówi o przemyśle rozrywkowym. Nie sposób dziś być outsiderem, owym sportowym „jeźdźcem znikąd", który się nieoczekiwanie pojawia, a jeszcze bardziej nieoczekiwanie zwycięża. Zawodnik, jeśli chce dojść do wyników liczących się na arenie krajowej, musi się znaleźć w obrębie organizacji określającej jego cały tryb życia, nie tylko metody treningu. W pewnym sensie jeśli nie odbiera to uroku romantyzmu, który ewentualnie trąci już myszką, to chyba w znacznym stopniu ogranicza poczucie osobistej satysfakcji wobec faktu, że wynik jest w poważnym stopniu wypadkową starań podejmowanych niejako instytucyjnie. W tych warunkach już sakramentalnie przywoływany duch Grecji znajduje się na dalekim planie.

I nie do pominięcia jest element zawodowstwa. Z amatorskiego sportu wyczynowego śladu już nie zostało. Tak zwana kadra narodowa to po prostu zespół ludzi zarabiających pracą na stadionach, ringach i bieżniach. Wobec konkurencji międzynarodowej nie sposób oczekiwać innego rozwiązania, ale też próżno mniemać, by ten właśnie organizacyjny stan rzeczy inspirował szlachetność pojęć etycznych. Nie można budować ideału z natchnień instytucjonalnych.

Jaki w sumie wniosek? Czy taki może, że w wychowaniu należałoby w ogóle zrezygnować z roli, jaką spełnia wysiłek fizyczny, podnoszenie sprawności ciała itd? Bynajmniej. Musimy jednak uświadomić sobie fakt dokonanej przez współczesność odrębności tych dziedzin. Sport zatraca swój walor humanistyczny, w swym wymiarze społecznym przestał być czynnikiem wychowawczym. Stał się dziedziną wyspecjalizowaną jak wiele dziedzin nauki w swej pecyfice niedostępnych orientacji przeciętnego inteligenta. Jest wartością samą dla siebie, a nie ze względu na rzekome już funkcje psychologiczne, moralne, składające się na zespół cech kształtujących postawę życiową.

Przeminął okres świetności polskiego sportu, czas, kiedy byliśmy trzecią potęgą na świecie i jak najdalej bądźmy przekonani, że bezpowrotnie. Na odwrót — mimo obecnych niepowodzeń nie sposób pozbyć się myśli, iż w drodze mobilizacji sił nastąpi powrót do mazurków granych na najpoważniejszych stadionach świata. Ale to już inny problem. Techniczny, społeczny, organizacyjny, psychologiczny — wydaje się nieco do szacownej, ale bezpowrotnej przeszłości.

Ijon

Kamena str. 10

moje LEKTURY

Jednym tchem

LOS poezji Tadeusza Peipera ilustrują świetnie jakże prawdziwe słowa Norwida o wnuku sięgającym po pismo obojętnie minione przez syna. Wiersze i poematy autora „Tędy" uchodziły kiedyś za nieczytelne i dopiero dzisiaj krytyka jest w stanie pokazać, jakie bogactwo informacji poetyckich zawarł Peiper w swoich wierszach. Wystarczy powołać się na znakomitą analizę „Nogi" dokonaną przez Janusza Sławińskiego. Co więcej, niedawna sesja peiperowska wykazała, iż siła inspiracyjna utworów Peipera rośnie z upływem czasu. Oddziałuje nie tylko teoria autora „Nowych ust" lecz właśnie same zasady, według jakich rozwijała się jego poezja. Możliwy jest więc powrót do Peipera, płodny i dobrze owocujący. Przykładem niech będzie jedno nazwisko: Stanisław Barańczak.

Stanisław Barańczyk, znany już z ciekawych prac krytycznych, wystąpił w nowym — drugim z kolei — tomie wierszy w podwójnej roli: jako poeta i jako autor nie manifestu jeszcze, lecz tylko „paru przypuszczeń na temat poezji współczesnej", zostawmy ich zawartość na razie na uboczu stwierdzając jedynie, iż łączenie w jednej książce dwu ról może okazać się niekorzystne dla autora. Bo każdy komentarz twórcy osłabia wartość dzieła, podważa jego autonomiczny i samoistny byt, a prócz tego zdaje się zachęcać czytelnika do traktowania wierszy jako ilustracji wyobrażeń autora o poezji. Nastawia go w określonym kierunku.

Chciałem uniknąć wspominania tutaj o Peiperze. Wydaje mi się bowiem, że odesłanie do jednego źródła uszczupla wartości omawianych wierszy, pomniejsza wysiłek poety, zuboża skalę jego osiągnięć. Ale autor „Jednym tchem" zmusza czytelnika do nieustannej pamięci o zwrotniczym poezji polskiej. Otwórzmy tomik na wierszu tytułowym i równocześnie inicjalnym:

Jednym tchem, jednym nawiasem tchu zamykającym zdanie,
jednym nawiasem żeber wokół serca
zamykającym się jak pięść, jak niewód
wokoło wąskich ryb wydechu [...]

Jesteśmy świadkami, jak poeta wciela na nowo jedno z odkryć Peipera, mianowicie zasadę układu rozkwitającego. Przypomnijmy określenie wynalazcy: *Poemat rozwijałby się jak żywy organizm: jak pąk rozkwitałby przed nami. Już pierwszy ustęp zawierałby w sobie wszystko co nastąpi; dalszy ustęp byłby stopniowym rozwijaniem pąkowej zawartości pierwszego; a w ostatnim ustępie mielibyśmy przed sobą kwiat; już pełny rozłożysty.*

Większość wierszy Barańczaka opiera się właśnie na zasadzie układu rozkwitającego. Motyw główny utworu zapowiedziany jest najczęściej w tytule lub w pierwszym wersie utworu i przewijając się przez tekst tworzy jego szkielet, stanowi podstawowy element konstrukcji.

Dlatego u Barańczaka nie ma nic przypadkowego, bowiem wszystko podlega doskonałej organizacji i wzajemnemu sprzężeniu. Byłoby niesprawiedliwością, gdyby w jego wierszach widzieć tylko powtórki z Peipera. Oczywiście — tu jest także wiele retoryki, ale wiąże się ona raczej z dramatyczną konstrukcją tej liryki. Bo obok wierszy opartych na prowadzeniu rozkwitającym motywu głównego istnieje druga grupa, gdzie u podstawy utworu znajduje się konstrukcja dialogowa, by wymienić „papier i popiół... Dwa sprzeczne zeznania" czy „Między rudą a rdzą". Występuje wtedy dialog słów, spięcie znaczeń, skojarzenie dźwięków.

Ale Barańczak nie uprawia zabawy w poezję, nie „łapie języka za słowo", raczej „wymusza" na nim coraz nowe możliwości, niespodziane, bo utajone lub przeoczone. Jest tu coś z dwuznaczności słowa odkrytej przez Przybosia:

Twarzą w trawę: twarzą w twarz,
którą straciłem, oko w oko, którym
rzuciłem nieopatrznie i opacznie w stronę
luster i bruków;

Widać więc, iż Barańczak wychodzi także poza tradycję Peiperowską. Scala niejako różnorodne doświadczenia. Wyciągnął wnioski ze zdobyczy poetyki lingwistycznej, nieobca mu jest przywrócona tradycja barokowa, a nawet zbliża się do neoklasycyzmu Jarosława Marka Rymkiewicza. Myślę choćby o świetnym wierszu „Wziąłem sobie do serca":

Wziąłem sobie do serca te pięć litrów krwi,
która ucieka z niego,
jakby chciała
przebić się poprzez cienkie tynki skóry,
lecz wraca wciąż tym samym torem
ze ślepego zaułka serdecznego palca;

Zniewala w tych wierszach wielka powaga, z jaką przemawia poeta i ogromna odpowiedzialność za wypowiadane słowo. Precyzyjna organizacja utworu, przemyślany i konsekwentny a bardzo ciekawy ustrój dźwiękowy wiersza, wyostrzenie znaczeń — to dalsze zdobycze tomu. Poeta w słowie wstępnym wskazuje na pewne elementy swej postawy. Poezja jest więc przeznaczona dla człowieka pragnącego myśleć, jest głosem jednostki, która *wykazuje myślenie nieufne, krytyczne wobec zbiorowych wiar, sentymentów i histerii.* Powinna oprzeć się na konkrecie. Być nieufna wobec rzeczywistości, ale prowadzić ku prawdzie. Autor wie, że są to przeważnie stwierdzenia oczywiste. Ale i one ulegają niekiedy zapomnieniu.

Tadeusz Klak

Stanisław Barańczak: Jednym tchem. Warszawa 1970. Zrzeszenie Studentów Polskich (suplement do publikacji „ORIENTACJA" grudzień 1970).

Krzyżówka nr 20

POZIOMO: 1. malarz historii Polski, 5. nazwisko twórcy „Lalki", 8. niezbędny sprzęt i materiały do jakiegoś celu, 11. nauka o świecie zwierzęcym, 12. grzyby jesienne, 14. wynik dzielenia, 15. liczebnik, 16. biblijny żeglarz, 17. mitologiczny pół-koń, pół-człowiek, 19. główny port Pakistanu, 22. wada wzroku, 24. bóg egipski z głową charta, 25. hodowlane zwierzęta futerkowe, 27. warsztat kowala, 28. obraz malowany farbami wodnymi, 29. przeciwutleniacz, 32. do czyszczenia końskiej szczotki, 33. najwyższy szczyt w Bieszczadach.

PIONOWO: 1. było kilku poetów i pisarzy o tym nazwisku w XVI i XVII wieku, 2. umożliwia fotografowanie z odległości, 3. duży zbiornik wodny, 4. narząd jednego ze zmysłów, 5. zabawa, 6. miasto powiatowe w woj. poznańskim, 7. dzieła nie wydane, 9. znane dzieło Gogola, 10. zwitek materiału opatrunkowego, 13. autor „Popiołu i diamentu", 18. biograf Karola Wielkiego, 20. rozstajne drogi, 21. twórca największej piramidy, 23. urządzenie teatralne do opuszczania się pod scenę, 24. nie sięgnęła się po upuszczony materiał, 26. stos atomowy, 30. kąśliwe owady (wspak), 31. część sztuki teatralnej.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 18

POZIOMO: Lubelczyk, Berent, batalia, Zegrze, Kun, skat, Lenartowicz, Elbrus, parobczak, Niesiecki, orbita, narciarstwo, solo, Fez, konsul, Leblanc, Warski, imażinizm.

PIONOWO: Luboml, Ewa, ziarno, Krzywicki, Boguszewska, elektor, Tarnowski, Turner, laur, Taczanowski, Prokofjew, Andriolli, cytata, Baszkir, idylla, romb, Okocim, len.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 18 nagrody wylosowali:

Irena Partykiewicz, Lublin, Dymitrowa 7/3; Zofia Szymańska, Radymno, pow. Jarosław, Rynek 25/6; Paweł Zawisza, Włodawa, Al. Wyzwolenia 56; Jerzy Łopuszyński, Lublin, Matejki 3.

Listy do KAMENY

Szanowny Panie Redaktorze!
W numerze 16 „Kameny" z dn. 1 sierpnia, zauważyłem swój wiersz poświęcony tragicznie zmarłemu przyjacielowi Jurkowi Potockiemu, z wielką przykrością jednak przeczytałem że wiersz zamiast Jurkowi P. zadedykowany jest Jurkowskiemu P. Uprzejmie proszę o sprostowanie błędu.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku
Jan Lohmann

„Ceny przystępne"

Mistrz ślusarstwa samochodowego Jan Sito — literat, Ząbkowice Śląskie ul. Gen. Świerczewskiego 4/1a, pisze doskonałe teksty z treści literackiej piosenek. Dla solistów, oraz zespołów, jak też Domów Kultury itp. Ceny tekstów bardzo przystępne od 500 złotych wzwyż. Mile widziane wszelkie propozycje listowne. Mój adres:
Mistrz Ślusarstwa Samochodowego
Jan Sito
Ząbkowice Śląskie
ul. Gen. Świerczewskiego 4/1a
woj. wrocławskie
Do Redakcji — Kameny — Po ogłoszeniu tego tekstu należy wydrukować wiersz mojego autorstwa zatytułowany POLEW — który wysłałem z Warszawy na Wasz adres. No i spowodować druk moich wierszy które Wam wysłałem listem z Warszawy, zwracając się o ich wydanie i publikację.

podpis nieczytelny

Od redakcji: List ten przychodzi nam uznać za przyczynek do felietonu „Nasz znak: kl. II", opublikowanego w 19 numerze „Kameny".

„Agituję za latem"

Autor felietonu „Agituję za latem" („Kamena" nr 18) boleje nad zanikiem we współczesnej literaturze opisów przyrody. Różne były na ten temat i są zdania. Przytoczę tu pewne zdanie z oceny książki T. Brezy „Mury Jerycha", w której za największe zalety ongiś uznano: „brak opisywactwa, brak rozpanoszonego u nas krajobrazu, brak sentymentalizmu myślowego i uczuciowego." W roku 1946 T. Breza otrzymał za tę powieść nagrodę literacką „Odrodzenia". Jury konkursowe pominęło wówczas Żukrowskiego, Andrzejewskiego, Dygata.

Opisy chłopskich sadów i pól buraczanych, chat rzędem na piaszczystych wzgórkach, oglądanie starych sprzętów, zegarów w książce W. Zina „Piękno nie dostrzegalne" — to moim zdaniem staroświeckie pomysły.

Teraz jesteśmy w zasięgu małego realizmu. Przeżycie artystyczne, przyroda, kontemplacja i wszelki wysiłek intelektualny to snobizm! Dalej autor felietonu pisze, że „współczesna młoda proza obraca się w kręgu zainteresowań, o jakich daje się słyszeć w rozmowie referenta z zaopatrzeniowcem niedzielnym popołudniem w restauracji III kat."

Z datą 17 marca 1951 r. odkrył coś podobnego J. Parandowski w „Luźnych kartkach" pisząc: „Tydzień temu odbyła się w Związku Literatów dyskusja na temat sztuk przysłanych na konkurs Ministerstwa Kultury i Sztuki. Ostro atakowano metody postępowania jury, a i sam jego skład, gdzie byli niemal wyłącznie urzędnicy! Cytowano również to i owo ze sztuk nadesłanych. Najśmieszniejsza była rozmowa dwojga młodych ludzi: On do uperfumowanej panny: „Czy nie stać ciebie na ostry pot robotnicy?" — Ona: „Stać mnie na to Ambroży..."

Ale współczesną książkę trzeba umieć czytać, jak pouczał kiedyś H. Bereza: „Tylko ktoś bardzo głupi mógłby jednak czytać „Gwiazdę sezonu" jako powieść o kierowcach i transporcie. Tylko ktoś taki, kto opowiadanie M. Nowakowskiego czyta jak opowiadanie o złodziejach i prostytutkach."

A nie mówił w swoim odczycie, wygłoszonym w 1915 r., St. Żeromski: „Sztuka niech pełni swoje powołanie. Niech sprawy polityczne załatwia minister spraw zagranicznych, sprawy społeczne minister spraw wewnętrznych, a poezją, literaturą i sztuką niech się parają artyści, poeci, literaci — to wyjdzie tylko na korzyść — i życiu — i polityce — i sztuce."

Stanisław Sterlus
Kodeniec
pow. parczewski

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Dawno już nie gościliśmy w naszym organie czystej erotyki. Toteż bardzo w smak nam propozycja Pana J. B. z Rejowca. „Jeśli któryś z tych wierszy jest tak dojrzały, że może zająć swe miejsce w Poste-Restante, to proszę"... Tak powiada autor, a my cytujemy co dojrzalsze fragmenty:

Odchodzisz
lecz dokąd
czy do powrotu
jak drzewo późną jesienią
czy po to
aby powrócić pasągiem zieleni
by żar we mnie ostudzić
jeżeli odchodzisz
to nie do powrotu
lecz po to
by słońce żałobą zapalić
i światła czarne świeciły
i gwiazdy
żałobne sztandary.

Umieć zapomnieć
i przeżyć umieć
klęskę co wciska się do gardła
bijąc złowrogo
jak krople deszczu po rynnie
zagłuszyć ten rytm
wyryty bruzdami Twych oczu...

Zanuć mi pieśń o smutku
pieśń nie spełnionych marzeń
w to wierzę
to kocham
to coś z ostatnich wydarzeń.

Nie jest wesołe to życie erotyczno-uczuciowe, oj nie. Następnym razem poszukamy czegoś radośniejszego.

FALSETEM

„Miecz Demokratesa"

W IV WIEKU przed naszą erą władcą Syrakuz był Dionizjusz I Starszy. Jak każdy szef szefów miał on swoje plusy i minusy. Energicznie zwalczał arystokrację, bezpardonowo konfiskował jej majątki, przeznaczając olbrzymie sumy na utrzymanie armii i swego dworu. Słynął jednak ze swej podejrzliwości, ciągle wydawało mu się, że ktoś pod nim kopie dołki i tylko czyha na to, by go zgładzić.

Nikt dzisiaj nie powie o kimś, kto ma manię prześladowczą, że „boi się jak Dionizjusz I Starszy" i właściwie tyran Syrakuz utonąłby w historii, gdyby nie jego dworak, Damokles, który na dworze swego władcy przeżył pewną przygodę. Otóż Dionizjusz zaprosił go kiedyś na wystawny obiad. Cóż — zazdrość i wówczas towarzyszyła maluczkim. Damokles nie należał do milczków, jął się żalić, że — jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli — „takiemu to dobrze". Dionizjusz może się zdenerwował, a może tylko zażartował; historia jednak odnotowała, że podczas owego przyjęcia nakazał nad głową Damoklesa (pałaszującego, dajmy na to, indyka z borówkami) zawiesić miecz uwiązany na końskim włosiu. I tak powstało powiedzenie: Miecz Damoklesa, dzięki czemu o Damoklesie wie nawet — jak sądzę — Wicherek.

Różne jednak wiatry wieją przed kamerami telewizji, nie powinno więc nikogo dziwić, że nasz Minister Pogody powiedział wieczorem 12 bm: „Miecz Demokratesa wisi nad nami". Nie wiem, czy wszystkim obywatelom naszego kraju tego typu prognoza przypadła do gustu, mnie jednak bardzo się podobała. Demokrates — choć o tej postaci milczą encyklopedie — musiał być niezwykle mądrym człowiekiem, skoro od jego nazwiska powstało tyle pięknych słów jak: demokracja, demokratyzacja, demokratyzm, demokratyzowanie, demokratyczność. „Tytuł demokraty oznaczał człowieka, który w swoim mieście lub kraju chce zaprowadzić równość polityczną, i nic więcej". To napisał Mickiewicz, nie ja, jeśli więc komuś ten cytacik się nie podoba — pretensje proszę zgłaszać podczas seansów spirytystycznych.

Mamy więc „miecz Demokratesa", który „wisi nad nami". Niech on jednak nie będzie tylko elementem dekoracyjnym, od czasu do czasu warto z niego zrobić użytek i ciąć na prawo i lewo.

Do cięcia na prawo — nikt się nie przyczepi, zresztą historia ostatniej wojny dowiodła, że dobrze trzeba się było tym „mieczem Demokratesa" namachać, aby pospadały głowy faszystowskim rzezimieszkom. Tfu, po co naciągam rękawiczki? Faszystowskim mordercom! Późniejsze doświadczenia pokazały, że zbyt często chcieliśmy ową szlachetną broń przekazać do muzeum osobliwości. Nadal bowiem trzeba ciąć na prawo, i to z całym impetem robotniczych dłoni, ale również trzeba słuchać czy na lewo czysto brzmi chór Międzynarodówki. I w razie czego — mieczem. Choć musnąć!

Nie mniej z chórami nigdy nic nie wiadomo. Facet śpiewa w chórze i jakoś w gromadzie wszystko mu składnie wychodzi. Spróbujmy go jednak zrobić solistą Operetki Lubelskiej. Dyrektor Chmielarczyk zaraz by go na pysk wyrzucił, chociaż może zawahałby się nieco, gdyby pani redaktor Korneluk wyraziła na łamach organu pozytywną opinię. Sam na spektakle Operetki Lubelskiej nie chodzę, miłe buzie obejrzę sobie w „Norze".

I w ten sposób od Dionizjusza I Starszego dotarłem do władcy „Nory" Jacka Abramowicza. Czytelnik jest przekonany, że teraz dopiero zacznę smagać „mieczem Demokratesa". Jak jednak smagać w tych ciemnościach? Na oślep? Za duże ryzyko: mogę trafić przypadkowo jakiegoś dostojnego gościa, który do tego klubu dostojnie wkraczał. Bo z wychodzeniem to już różnie bywa. I nasuwa się jeszcze jedno pytanie: kogo można uważać za dostojnego gościa? Osobiście sądzę, że w „Norze" nawet najbardziej Dostojny Gość jest tylko gościem. Normalnym gościem, nad którym można nawet zawiesić ów tradycyjny miecz — Damoklesa. Gdy np. wcina rozwodniony forszmak.

Czytający ten tekst, gotów jest się zacząć głowić: o co w końcu autorowi chodzi? Co tu się kryje między wierszami? A kuku! Nie powiem Ten felietonik skomponowałem sobie tak, jak pewien młody twórca wieszczy swoją poezję. Kreśli, co mu ślina na język przyniesie, a potem twierdzi, że „to" nie dla współczesnych, lecz przyszłych pokoleń. Wierzy mu nie tylko Maciek Podgórski, ale i prof. Jakubowski.

Ja jednak przed napisaniem tego felietonu — i w tym pewna różnica między mną a owym twórcą — przygryzłem sobie język. Żeby nie było niedomówień: ja przygryzłem, a nie mnie przygryziono. Nastąpiło to z bardzo prozaicznej przyczyny: przekonałem się, że „miecz Demokratesa" jest cholernie ciężki. Zacisnąłem mocno zęby. Zbyt mocno. Efekt — jak wyżej.

Bo w żadnej sytuacji nie należy być solistą. Ba! Ale kto mnie o tym przekona?

MAJ

Z OSTATNIEJ CHWILI. Otrzymałem ekspressem list: „Pomożemy utrzymać „miecz Demokratesa". Bardzo się ucieszyłem. W żaden sposób nie mogę jednak odczytać podpisów. I wydaje mi się, że sam list został napisany lewą ręką. Na wszelki wypadek? Może więc i ja — na wszelki wypadek — podpiszę się pod tym tekstem inaczej? Np.:

GRUDZIEŃ

Gdzie arkusz lubelski?

Szereg powodów składa się na to, że Polska wschodnia nie posiada zbyt silnych środowisk literackich, w tym tak samo młodoliterackich. Drobny przykład z dziedziny edytorskiej. Gdyby prześledzić bibligrafię arkuszy poetyckich, samodzielnych dodatków KKMP, jakie od 1966 roku ukazują się przy „Głosie Młodzieży", to nasuwa się wniosek, że najbardziej prężny ruch KKMP istnieje na terenach Polski zachodniej i północnej. Ośrodek opolski zdążył już opublikować dwa arkusze poetyckie, po jednym mają: Wrocław, Zielona Góra, Koszalin, Szczecin.

Wydały też swoje arkusze: Kraków, Warszawa i Katowice. Gdyby szło o Polskę wschodnią, to jak w 1966 roku zaprezentował się ośrodek rzeszowski, tak dopiero w roku bieżącym wyszedł kielecki arkusz poetycki, a ostatnio — białostocki, który niezależnie od wszelkich perturbacji ruchu KKMP, należy powitać z sympatią, choćby jako zapowiedź redakcji „Głosu Młodzieży" — jak powiada we wstępie do arkusza Jacek Kajtoch — „zainteresowania się czasopisma środowiskami literackimi na kresach wschodnich". „Kamenie" przybyłby sojusznik.

Białostocki KKMP reprezentują w arkuszu następujący poeci: Zbigniew Bauer, Janusz Berner, Hanna Cygańczuk-Zajkowska, Jan Czykwin, Tadeusz Antoni Masłowiecki, Janusz Niczyporowicz, Olimpia Niedźwiedź, Bogusław Pezowicz, Jerzy Plutowicz, Eugeniusz Szulborski. Każdy z autorów posiada swój konterfekt w arkuszu, nie rozumiem tylko, dlaczego nie posiada króciutkiej choćby notki: kiedy się urodził i co porabia na świecie.

Drobna jeszcze uwaga tylko. Jacek Kajtoch twierdzi we wstępie, iż jest to „pierwszy przejaw zainteresowania czasopisma" młodymi poetami Polski wschodniej, czym robi krzywdę... własnej redakcji. Sam bowiem miałem w ręku arkusz kielecki, zaś bibliografia zawarta w „Regionach" (nr 3/16) wspomina o arkuszu rzeszowskim.

W tychże „Regionach" w planie pracy lubelskiego KKMP na rok 1971 widnieje pozycja: „Zrealizować lubelski arkusz poetycki..." Ano pożyjemy, zobaczymy, kolego Jedziniak.

MP

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WAŚNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), TADEUSZ KŁAK, ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Numer łamał KONSTANTY KĘPA

Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 35
Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecona i ekspresowa — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 2243. 8.IX.71. 3600. A-5.

Europa patrzy

O TEGOROCZNYM sopockim festiwalu piosenki mówiło wiele osób, a każda co innego. Więc na przykład różni zarzucają, że impreza skomercjalizowała się, tymczasem p. Leonard Lazarowicz, dyrektor Kąpieliska Morskiego w Sopocie podaje nam na konferencji prasowej, iż zyski organizatorów wyniosą około 3 tys. zł (słownie: trzech tysięcy). Wydaje się, że wpływy powinny być duże. Po odliczeniu wszystkich darmowych kart wstępu dla oficjeli, artystów i innych gości (za dziennikarzy redakcje płacą), do sprzedaży zostaje 3 740 biletów, z czego 3 040 po 120 zł w pierwszych trzech dniach i po 140 zł w dniu czwartym, reszta zaś — nieco taniej. Ale jakie są wydatki: koszta wynajęcia Opery Leśnej, dekoracje, prąd, porządkowi, sprzątaczki, administracja, korespondencja, telefony międzynarodowe, orkiestry, próby, coctaile i tak w koło Wojtek!

Sami artyści nie biorą wiele: po 1 500 zł za występ, jurorzy po 500 zł za wieczór, lecz do tego trzeba doliczyć koszta przejazdu i hotelu. Obserwatorzy zagraniczni płacą sami za przejazd i hotel, a bilety dostają za darmo. Gdby nie wpływy za transmisje radiowe i telewizyjne (2 mln zł) i z reklamy (400 tys. zł), organizatorzy poszliby z torbami. Jeśli więc kto na tym interesie wyjdzie fajnie, to np. Nancy Wilson, która wystąpi poza konkursem i weźmie za to 15 tysięcy dolarów, co — obiektywnie rzecz biorąc — jest forsą niezłą nie tylko w Polsce, gdzie zielony papierek twardo się trzyma, ale nawet i w świecie kapitalistycznym, gdzie z dnia na dzień robi się słabszy, co zresztą przepowiedział z grubsza podręcznik ekonomii politycznej z roku 1951, kupiony przeze mnie z przeceny w 1957.

Mniej niż p. Wilson, ale nie deficytowo wezmą Colin Scot i Jurij Gulajew oraz p. Nina (bez nazwiska), też występujący gościnnie. Płacimy zresztą nie my, Polacy, tylko angielska firma telewizyjna, która kręci kolorowy film z festiwalu i ma go zamiar sprzedać na świecie, z czego strona polska dostanie 10 procent od wpływów brutto. Anglicy bali się, że sam festiwal będzie za mało atrakcyjny, by film opchnąć, toteż zamówili występy dodatkowe. Po mojemu u-

„Słodka Maria Kadrianu..."

jelenili się zdrowo, bo państwo Nina i Scot nie zaprezentowali nic specjalnie lepszego od reszty uczestników, zaś tow. Gulajew, na pewno świetny w operze, repertuarem swym nie pasował do festiwalu piosenki. Trudno, nie każdy jest tow. Magomajewem.

Rozróżnienie na formy „towarzysz" i „pan" stosuję celowo po przeczytaniu w „Głosie Wybrzeża" nr 204 (7401) wywiadu z Kanadyjką Christine Chartrand, tytułowaną per „pani' i zaraz obok — drugiego wywiadu, w którym piosenkarka radziecka, Maria Kadrianu, tytułowana jest przez „wy".

A wracając do kosztów festiwalu. Być może, wskaźniki ekonomiczne poprawią się. W Sopocie podjęto decyzję rozbudowy widowni w Operze Leśnej o 2 tys. miejsc. Niestety, widz krajowy za wiele nie powinien sobie obiecywać, zamówień na bilety sypie się coraz więcej zza granicy, już nie tylko z NRD, NRF, ZSRR, Czechosłowacji i krajów skandynawskich, ale nawet i odleglejszych, jak np. Brazylii.

Na razie (26 sierpnia rano) nie wiadomo jeszcze, jaki będzie festiwal, spodziewać się można, jakie będą konferencje prasowe. Dziennikarzy przyjechało 125 plus 12 zza granicy, lecz ich nie wliczam do dziennikarzy, zawsze to zagraniczni, a w Polsce zagranicznik to nie w kij dmuchał.

Pierwsze pytanie zadaje ten pan, co zawsze na festiwalowych konferencjach. Pyta też o to samo: o p. Dziedzic i p. Kydryńskiego. Dowiaduje się, że p. Dziedzic jest tak zapracowana, iż organizatorzy nie śmieli jej zaproponować prowadzenia konferansjerki, wobec czego nie będzie prowadziła. Natomiast p. Kydryński, który prowadził przez 10 kolejnych festiwali, na jedenastym postanowił odpoczywać, po prostu słuchać i gapić się jak zwykły facet z ulicy. Potem zresztą zorientowałem się, że zupełnie w ciemno nie przyjechał. W broszurce z nazwiskami oficjalnych uczestników festiwalu figurował pod numerem 220 jako journalist (broszura była po angielsku), zaś p. Halina Kunicka, zaprezentowana przezeń w czerwcu w Opolu jako „rodzina", miała na tej liście nr 216 („singers — solistka). „Journalist" Kydryńskiego nie oznaczało wszakże przeciętnego dziennikarza á 850 zł akredytacja, gdyż ci znajdowali się na innej liście. Broszura, o której wspominam, była warta przestudiowania, choćby żeby zobaczyć, kto ma jaką ekipę. Anglia — 37 osób, ZSRR — 24, Czechosłowacja — 23, NRD — 20, NRF — 15, Grecja tylko 4 (ale w tym p. Clia Denardou, Grand Prix Palma de Mallorca 1965 i w Atenach oraz dyrektor festiwalu „Olimpiada piosenki", p. Takis Cambas), Chile, Norwegia, Portugalia — po 2, Szwecja, Tunezja, Syria — po 1. Razem 336. Ekipa polska była najliczniejsza, to zrozumiałe, w składzie swym miała też oficjeli, m. in. trzech w stopniu wiceministra i pięciu z innej wysokiej instancji: szczegółów wolałbym nie podawać, może zainteresowani nie byliby zadowoleni, a nie wiem na pewno, czy odnowa poszła już tak daleko, że warto się narażać.

I jeszcze dowiedzieliśmy się na tej konferencji, że imprez tego typu jak „Piosenka nie zna granic" już się po festiwalu w kraj nie puszcza, gdyż robiły złą krew, jako że nie brali w nich udziału wszyscy uczestnicy Sopotu. Ściślając — zazwyczaj brali ci najsłabsi, bowiem lepszym za grosze nie opłaca się tłuc po naszym kraju i nocować w hotelach typu „Europa" Lublin, zaś półtora patyka od wieczora nikt im nie da z powodu braku odpowiedniej wielkości sal, mogących zwrócić taki wydatek.

Dziennikarze w Sopocie więcej niż połowę swego czasu spędzają na konferencjach prasowych i aż dziwne, że z nich piszą najmniej. Ja nie lubię wysiadywać bez potrzeby, więc zaraz państwu opowiem, że po południu była druga konferencja, na której piosenkarz japoński, o typowym dla swego kraju nazwisku I. George, lat 37, przedstawił się nam, że w konkursie piosenkarzy amatorów w Tokio na 1 500 uczestników (ach, ta eksplozja demograficzna w Azji!) zajął 5 miejsce, dotychczas nagrał 130 płyt długogrających. Wszystko dalej też jest na wielką skalę. Swój pierwszy recital, opracowany w 1960 roku, powtórzył 250 razy. Koncertował w 27 krajach.

Potem opowiadali o sobie p. Chris Smither z USA i p. Claudio Baglioni z Włoch. Obaj wystąpili jako rewolucjoniści, ale przywiązani do tradycji (jeden — kowbojskiej, drugi— średnowiecznej), obaj zaśpiewali, akompaniując sobie na gitarze. Potem znów dziennikarze zadawali pytania w rodzaju, czy pan ma dzieci, co pan lubi na deser i podobnie głupawe, aż przywołać ich musiał do porządku red. Ryszard Gontarz (opalony, biały golf, donośny głos), znany szeroko z tego, że albo on o kimś pisze krytycznie, albo ktoś o nim, w każdym razie ma publicyty.

W ogóle, gdyby nie piękna blondyna o bladej cerze w prezydium i kelnerka w koronkowej bluzce i bez stanika, byłoby strasznie nudno. Włocha tłumaczył na polski red. Krystian Brodacki (jak wskazuje nazwisko, z brodą) biegle. Odciążył przewidzianą do tej pracy blondynkę, p. Morgantini, Polkę, żonę impresaria p. Baglioniego. Co do kelnerki: podawała tylko kawę, a nie alkohole, jak przed południem, wobec czego niewątpliwie konferencja nie mogła udać się na sto dwa.

Po pierwszym koncercie publiczność określiła już swoje sympatie. Numer 1 — Sośnicka. Takiego błyskawicznego, zdecydowanego podbicia estrady nie było w Polsce od dawna. Piękny głos oraz wdzięk osobisty. Inne pupilki to Su Kramer z NRF (głos, swobodne stroje, no i fakt, że swoją nagrodę 10 tys. zł przeznaczyła na Centrum Zdrowia Dziecka), Regina Thoss z NRD o buzi i figurze jak laleczka z domu mody, słodka Maria Kadrianu ze Zw. Radzieckiego, egzotyczny kwiat Kubanka Maria Farah, no i naturalnie Bułgarka Pasza Christowa. Fin Jukka Kuoppamaki, lat 28, chodził krok w krok z p. Sirpa Kuoppamaki, żoną, informując na lewo i prawo, że mają czworo małych dzieci. Może taki zakochany, a może jeszcze i dlatego, że na Zachodzie moda teraz na wierność małżeńską, choć nie wiadomo, ile ta moda się utrzyma?

Moda, jak wiadomo, lubi zmiany. Taki Włoch, Tony Dalarda, czyli Antonio Lardera, lat 33, dość wysoki, krępawy, szpakowaty, w roku 1960 na festiwalu w San Remo dostał nagrodę za piosenkę „Romantica", która dzięki niemu stała się światowym szlagierem, jeszcze w 1966 („Margarita") i w 1970 („E coplia mia") wygrywał premie na festiwalu w Palma de Mallorca. W Sopocie fetowano go zupełnie przeciętnie. Co jeszcze nie oznacza obojętności. Publiczność ma swoje maniery. Jak niedawno żądała bisowania każdego utworu, tak teraz nikt z piosenkarzy nie mógł pokazać się na ulicy czy na molo, aby nie być atakowany przez łowców autografów. Ludzie wyciągali fotosy z prośbą o podpis, programy, albumy, a także zwykłe serwetki stołowe. Podejrzewam przy tym, że zarówno albumy, jak i serwetki w krótkim czasie jednakowo pójdą na makulaturę. Dziennikarze zrobili test: kilku rzuciło się z notesami za wychodzącą z hotelu red. Hanną Ańską z Zielonej Góry, efektownie, trzeba przyznać ubraną, a już zaatakował ją tłumek łowców autografów. Na ślepo, nie wiedząc, kto to jest. Oczywiście wybitni soliści otaczani byli przez wielbicieli świadomie. Sośnicka bez pomocy milicji nie wyszłaby ani razu z hotelu do taksówki, czy odwrotnie.

Na konferencji prasowej dziennikarze pytają Sośnicką, dlaczego dopiero w bieżącym roku zaczęto ją częściej oglądać na estradzie i w telewizji. Odpowiada: po studiach (dyrygentura w PWSM w Poznaniu) postanowiła poświęcić się zawodowo piosence, dotychczas uprawianej amatorsko (1964 — I miejsce na ogólnopolskim konkursie piosenki studenckiej). Ale nikt nie kwapił się ją zaangażować. Występowała od przypadku do przypadku, nie miała dobrych tekstów i melodii, a nie stać jej było, aby prywatnie zamówić. W roku ubiegłym była w Sopocie zwykłą turystką. Obok festiwalu odbywał się wielki pokaz mody z występami. Pewnego razu Teresa Tutinas nie mogła wystąpić i poprosiła o zastępstwo Sośnicką. Panią Zdzisławę usłyszał wtedy dyrektor radzieckiego „Goskoncertu" i zakontraktował na występy w ZSRR. W roku bieżącym zwróciła się do Marka Sewena z prośbą o skomponowanie dla niej jakiegoś utworu. W odpowiedzi otrzymała „Dom, który mam". Potem przyszły festiwale w Opolu, Kołobrzegu i Rostocku (dwie nagrody), teraz Sopot — i teraz już sypią jej propozycje występów nawet ci, którzy niedawno nie odpisywali na listy...

Konferencja prasowa z Anglikami. Derek Mills z BBC zachwyca się polską piosenką. Red. Zbigniew Adriański pyta, dlaczego w takim razie nie ma ona takiego miejsca na falach brytyjskich rozgłośni, jak piosenka angielska w Polsce? Red. Mills odpowiada, że po pierwsze nie lansują piosenek, które nie weszły na płytach na rynek angielski, a po drugie brytyjskie związki zawodowe stawiają różne bariery, chroniące rodzimych artystów przed cudzoziemcami.

Konferencja z Su Krumerz gdy zgasło światło w czasie jej występu, myślała, że to koniec świata, sądzi, że nie miało to jednak wpływu na wynik. Nagrody nie spodziewała się, nie przyjechała po nią, pierwszy raz występuje na festiwalu. Czy studiowała wokalistykę? Nie, uzdolnienia otrzymała po matce i to był piękny prezent, bo nie do kupienia. Występowała 300 razy w musicalu „Hair". Przestała, gdyż przestało ją to dalej zajmować. Ktoś z sali pyta, czy występowała też w „Oh, Calcuta!"? Tłumaczyć? — zwraca się do sali red. Tadeusz Rafałowski z Gdańska, etatowy tłumacz festiwali, przekłada z różnych języków, może nie tak biegle, jak profesjonalista, lecz za to nie przepuszcza idiotyzmów. „Hair" to sztuka, „Calcuta" — szmira. Nie tłumaczyć — orzekła sala.

Ale i sito — p. Rafałowski nie był w stanie wszystkiego wytłapać. Gulajew oświadczył, iż zaśpiewa o Gagarinie. Ktoś pyta, czy Gagarin może przybędzie? Cisza, konsternacja. Gulajew zrozumiał bez tłumaczenia, stropiony, nadrabia miną, oświadcza nieco metafizycznie „mam nadzieję, że będzie słyszał".

Inne błyskotliwe pytanie na konferencji: czy to prawda, że Adam Żwierz sam musiał prasować sobie smoking? (Jeśli chodzi o mnie, kazałbym mu wyprasować, ale na festiwal nie wystawił; podobnie jak i Gulajew, nie miał dopasowanego repertuaru).

„Inne pupilki to Su Kramer..."

„Nr 1 — Sośnicka..."

Fot. Z. Kosyorz

Po długiej dyskusji organizatorzy zdecydowali się zezwolić wszystkim dziennikarzom na prawo wstępu do baru pod estradą (początkowo chcieli dać tylko 12 kart, ale prasa solidarnie stanęła: wszystkim, albo nikomu!). W barze ścisk, trudno przejść. Masa pięknych dziewczyn, sztuka w sztukę. Gdy się dobrze przyjrzeć, nie są ładniejsze od tych, które spacerują ulicami Lublina, ale świetnie ubrane i zadbane. Pan Edward Kubacki, charakteryzator z Łodzi, kawaler lat 38, dziesiąty raz na festiwalu, ma pełne ręce roboty nie tylko przy artystkach, ale i paniach towarzyszących piosenkarzom i innym uczestnikom festiwalu: — Madame, proszę pozwolić zrobić oczy zielonym tuszem; czarny wyostrza rysy, a TV kręcą na kolorowo.

Za kulisami w barze na małej werandzie przechadza się młoda kobieta, w typie „spokojna elegancja": Pani starszy sierżant Teresa Bogalińska z KM MO Sopot. Specjalistka od „panienek". Czy ma dużo pracy? Dotychczas w ogóle nie. Artyści poprzyjeżdżali na ogół z żonami, narzeczonymi, sympatiami, utrzymankami, na niepewne znajomości nie idą, więc kłopotów (kradzieży, awantur itd). nie ma. W ogóle od tej strony jest dość spokojnie w Sopocie. (Wyłączając kradzieże w hotelach, pensjonatach, na plaży i kieszonkowe — zresztą milicja przyłapała kilkudziesięciu złodziei na gorącym uczynku), co potwierdza mjr Antoni Sztucki, zastępca Komendanta Miasta. W bieżącym roku po raz pierwszy spadła liczba rozróbek dokonywanych przez turystów skandynawskich; z północy zaczęło przyjeżdżać wyraźnie lepsze towarzystwo, nastawione na wypoczynek i turystykę, a nie wódkę i dziewczynki wyłącznie.

Festiwal nobilituje się więc powoli. W przyszłym roku obsadzamy wszystkie koncerty — oświadczył mi p. Antonio Ribetro, przedstawiciel portugalskiego „Polydora". W 1972 prawdopodobnie będziemy transmitować Sopot na żywo, w kolorach — powiedział herr Otto Anton Eder z austriackiej TV.

Czym powinien być taki festiwal — wiadomo. Przez cztery wieczory ma dostarczyć rozrywki odbiorcom radia i telewizji w Polsce i innych transmitujących krajach. Skierować na rynek polski najlepsze utwory i najlepsze nazwiska zza granicy. Skierować najlepsze nasze za granicę. Powinien być propagandą i powinien być interesem. Dla Sopotu — dodatkowo — ożywić miasto pod koniec sezonu, rozpropagować je. Do tego wszystkiego jeszcze daleko. Nie stawiamy w naszej reprezentacji najmocniejszych punktów. Niemen wygrał w tym roku festiwal w Helsinkach, lecz nie może wystąpić na wielkiej imprezie w Polsce. W roku ubiegłym Opole odbywało się na jego aparaturze; w bieżącym nie wstawiono go tam do koncertu finałowego, podobno przez przeoczenie komisji, która była zmęczona. W Sopocie był widzem. Ściągnęliśmy do Sopotu tylu, ale z przedstawicieli show-buissnesu, jacy objeżdżają nieustannie podobne imprezy na całym świecie, odwiedziło nas tylko 26, raczej z drobnych firm. W dniu płytowym występowali artyści z 22 firm, wszakże gwiazd raczej nie było i dzień ten był mniej ciekawy od innych.

Brzydki świat chce oferować nie sztukę dla sztuki i sławy, a dla pieniędzy. Może powinniśmy też nastawić się na robienie w Sopocie interesów i pozwolenie robienia innym? Ostatecznie oazą niekomercji i tak nie zostaniemy, festiwal w Brašov otrzymuje ponoć 2 mln lei i 25 tys. dolarów dotacji, a wcale nie jest lepszy. Mimo wybrzydzań, nasz jest przecież zupełnie niezły. Europa patrzy na nas — zawołał w finałowym dniu mój sąsiad do pani obok, gdy kamera TV skierowała się na nich. Ona nagle podała mu usta. Resztę państwo widzieli.

R. Wiśn.

Odpowiedzi redakcji

J. W. w Lublinie. Niestety, proszę Pana, nikt nie skorzystał z zaproszenia do redakcji. Widać tak wielu tych pokrzywdzonych autorów nie ma. A może chodzi o to, że szef nasz serwował tylko kawę?

R. K. D. w Radomiu. Lepiej by jednak się stało, gdyby wiersze zostawił Pan w szufladzie jako miłą sercu pamiątkę z lat „młodzieńczych porywów". Wdzięczne są dosyć, lecz przy ich lekturze zapomina się, iż w dwudziestowiecznej poezji zaszedł jakiś przełom. Ktoś przyzwyczajony do nowoczesnych środków poetyckich znudzić się może lub nawet... zdenerwować.

„Victorius" w Młynicach. Rozweselił nas Pan serdecznie: „we mnie ryby płyną rozgrzanymi kolejami", „języki skła chłepcą krew" itp. Cóż dodać do tego? Chyba to, że istotnie bardzo niedawno zajmuje się Pan „liryką poważnie". A może by tak w ogóle dać sobie spokój?

P. S. w Sanoku. Naszym zdaniem, brak perspektyw literackich przed Panem. Jak słusznie Pan powiada — „nie warto łudzić i okłamywać się". Im wcześniej Pan zrezygnuje, tym mniejsze rozczarowanie w przyszłości.

A. K. we Włocławku. Wiersz otrzymaliśmy. Jest napisany bardzo czytelnie, tak że kłopotów z lekturą nie mieliśmy żadnych. Następnym razem prosimy napisać, czego Pan oczekuje od redakcji, bo nie zawsze jest to takie proste: jedni oczekują oceny, inni publikacji, jeszcze inni uważnej lektury. Tę trzecią ewentualność mamy już za sobą w Pańskim przypadku.

K. J. Z. w Warszawie. Dziękujemy za list. Doświadczenie podpowiada nam, że mimo wszystko „odezwie" się Pan wcześniej niż za „kilkanaście lat", czym wcale nie bylibyśmy przerażeni i o czym Pan zresztą wie z poprzedniej odpowiedzi.

J. R. w Ropczycach. Akceptujemy rodzaj Pańskiego humoru, toteż i z tekstów skłonni bylibyśmy skorzystać. Tylko cierpliwość pozostaje Panu, jako że gatunek ten rzadko gości na naszych łamach ze względu na brak miejsca.

„Katarzyna" w Radzyniu. Złe jest to, co piszesz, bo bardzo naiwne jest, płyciutkie i — co dziwne u tak młodej dziewczyny — staroświeckie. Obstajemy przy radzie, o której poprzednim razem pisaliśmy.

W. G. w Ostrowcu. Cała sprawa nie sprowadza się do tego, czy wiersz jest rymowany lub „biały", idzie o rodzaj wyobraźni, jakość myśli, kształt językowy itd. Nie zachwycają nas te sprawy u Pana i z propozycji nie skorzystamy.

J. W. w Warszawie. Z tekstu raczej skorzystamy. Piszemy: „raczej", bowiem rzecz już nieco zaczyna się dezaktualizować, jeśli wziąć pod uwagę wyprzedzenie, z jakim musimy robić nasze pismo, no i fakt, że to tekst nie przewidziany i nie planowany przez redakcję. Trzeba by go też trochę skrócić, ale to już sprawa prosta. Listu, który Pan dołączył, nie czytaliśmy, albowiem jest absolutnie nieczytelny.

B. W. we Wrocławiu. Z nadesłanych tekstów nie skorzystamy.

„M. Jat" w Lublinie. Zamieścimy Pana list „Bic MA Jaworskiego" (z polemiczną odpowiedzią), ale proszę się ujawnić. Z anonimami — jak już pisaliśmy uprzednio — trudno polemizować. Więcej odwagi P. „M. Jat"!

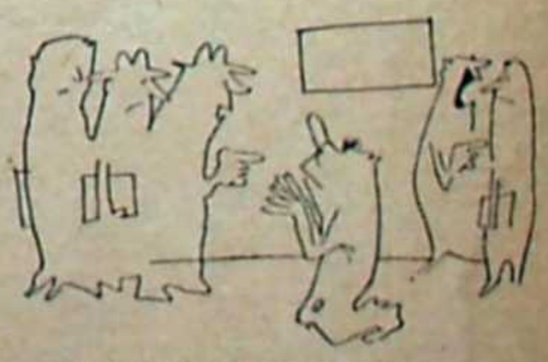

— Szef rozmawia z kooperantami.

Rys. L. Szalecki